



N^o 397.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół

Warszawa, 4 maja 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Jaskinia Woroniczów (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe (dokończenie). — Jarmark w Habelswerde (drzeworyt). — Charakterystyka obiadów (cztery drzeworyty). Dokończenie. — Lisowczyki. — Zestarzałe pojęcia (poezja). — Korespondencya od redakcyi. — Lutnia moja (śpiew). — Szachy. — Rebus. — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Życie za życie (powieść pani Waleryi Morzkowskiej), dalszy ciąg. — Przegląd teatralny. — Helena, powieść T. T. Jeża (dalszy ciąg).

JASKINIA WORONICZÓW

w Tryhurach nad Teterowem,
pod Żytomiérzem.

Teterów bierze swój początek około wsi Borkowice, w gub. wołyńskiej, w powiecie żytomiérskim, a przepływając pod Cudnowem i Żytomiérzem, wchodzi dalej w powiat radomyślski, do gubernii kijowskiej, gdzie przy miasteczku Kutyczach wpada do Dniepru. Poruszając wiele młynów, poczyna być spławnym dopiero od wsi Wepryna, za Radomyślem, niewięcej jak na mil 8 od ujścia. Zostawiając po za sobą wysokie wołyńskie rzeki, Teterów kieruje się nie z południa na północ, według pochyłości wołyńskiego grzbietu ku nizinom poleskim, ale z zachodu na wschód. Równiny jakie obléwa, wznoszą się nad poziom Czarnego morza zaledwie na 300 stóp paryzkich. Na mapie geologicznej profesora Eichwalda, wykonanej podczas podróży jego w r. 1829 po tych okolicach, znajdujemy zaznaczone w pobliżu Teterowa cztery punkta wulkaniczne: dwa bliżej źródła po obu stronach rzeki, przypadają mniej więcej w lasach trojanowskich, jeden dalszy, po prawej stronie, przy samym niemal wjeździe do Berdyczowa, i czwarty bliżej ujścia, około Radomyśla.

Teterów przepływa po większej części okolice leśniste; łożysko ma wązkie, najeżone gęsto skałami granitu, a brzegi jego co krok niemal układają się w malownicze widoki. Do liczby ich należy dość obszerna naturalna jaskinia, nazywana *jaskinią Woroniczów*, wznosząca się w granicach małej osady *Tryhury*, o mil trzy od Żytomiérza odległej. Osada *Tryhury*, ścięciona na małej polance wśród lasów i będąca dziś własnością skarbu, otoczona jest dołami lasami włości trojanowskiej, do której nie-

gdys należeć musiała. Przed laty trzydziestu składała się zaledwie z kilku chat włościańskich, po przeniesieniu których do innych majątków skarbowych, pozostał tu tylko dawny drewniany monaster, z drewnianą cerkiewką i wzniesiony obok nowy, murowany monaster z taką cerkwią, jakoteż dom stacyi etapowej.

Podanie odnosi początek monasteru do czasów bardzo odległych. Nie mając pod ręką erekcyi, nie możemy rozstrzygnąć tej kwestyi. Przypusz-



JASKINIA WORONICZÓW W TRYHURACH NAD TETEROWEM, I OD ŻYTOMIÉRZEM.

czyby jednak należało, że musi być fundacyą Woroniczów, jak wskazuje tradycyjna nazwa jaskini, w której członkowie tej rodziny, podczas napałów tatarskich i innych katastrof, chronić się mieli.

Pierwszy ślad o protoplaście rodziny Woroniczów znajduje się w przywileju Aleksandra Jagiellończyka (daty nie wiemy), którym *ziemianinowi żytomierskiemu, Iwaszce Woroniczowi*, nadaje *siedlisko Krośne*. Zygmunt I, przywilejem w Brześciu 4 czerwca 1511 r. wydanym, nadanie to potwierdza. Iwaszko miał dwóch synów, Gniwosza i Iwaszkę. Linia pierwszego musiała wygasnąć, od drugiego zaś wyprowadzali ród swój Jan Paweł Woronicz arcybiskup i brat jego rodzony Wojciech, którego potomkowie do dziś dnia żyją. Synowie Wasyla Woronicza, pisarza kijowskiego, praprawnuka pierwszego Iwaszki, w r. 1617 dzielą pomiędzy siebie dobra Trojanów, które oczywiście pierwój już do té

rodziny należeć musiały. Dziś majątność ta jest w posiadaniu Działyńskich.

Jan Prusinowski.

Kronika tygodniowa.

Lokale do najęcia! Lokale do najęcia! Lokale do najęcia!

Kart wywieszonych mnóstwo, nigdy jeszcze może tyle ich nie było; ogłoszenia w pismach mnożą się, Kurjer Codzienny lokalom osobny dział poświęcił. I rzeczywiście, kolejny wzrost szacunków domów w mieście naszym uległ chwilowej stagnacji. Niedawno jeszcze mnóstwo kapitalistów zgłaszało się do kupna, ofiarując wcale ponętne ceny; dzisiaj, z różnych powodów, na licznych subhastacjach domów odbywających się w Warszawie, nikt prawie nie staje do licytacji, chociaż nieraz obrotny człowiek mógłby za rzeczywiście tanie pieniądze dokupić się nieruchomości. Ale trwożliwe kapitały ukrywają się, a przynajmniej nie ma ich wiele. Ci co mają summy jakie do rozporządzenia, wolą spekulować na papiery publiczne, których nabytek ułatwia bardzo zniżona cena, zwiększając tym samym procent od nich pobierany. Akcje na cukrownie pochłonęły znaczną ilość gotówki, a zyski jakie w ostatnich czasach cukrownie przyniosły akcyonariuszom, znęcają ciągle nowych lubowników wielkiego procentu. Nieruchomość, uważana dawniej za najpewniejszą lokację, stanęła obecnie w drugim rzędzie. Ani ogromnych procentów, ani szybkiego powiększenia kapitału spodziewać się od niej nie można, a tym bardziej trudno się doprosić pożyczania summy na hypotekę, zapewniającą nawet największe bezpieczeństwo.

Stan to nienormalny i może łatwo wpłynąć na zniżenie cen nieruchomości, chociaż nie powiadamy żeby teraz już to nastąpić miało. Przynajmniej domy przy głównych ulicach miasta położone trzymają się w cenie i właściciele ich po dawnemu podwyższają opłatę za komorne. Zato na ulicach bocznych w wielu miejscach nastąpiło zniżenie tej opłaty, co w Warszawie było dotychczas rzeczą bezprzykładną prawie. A dodać należy że w tym jeszcze roku kilka nowych domów przybędzie, co także zaważy trochę na szali. Z zabudowaniem nowowytkniętych już i zamierzonych ulic, liczba domów zwiększy się znacznie. Policzymy n. p. ile ich przysporzy jedna tylko ulica (niewiadomo nam dotąd jak się będzie nazywać), stanowiąca nową komunikacją pomiędzy Krakowskim przedmieściem a Mazowiecką. Samo nabywanie placów już tam nietanio przyjdzie, boć to środek Warszawy. Inna znów ulica, od Długiej do placu teatralnego, podobno w przedłużeniu Daniłowiczowskiej, o której ciągle chodzą wieści, bardzo także będzie na dobie. Wszędzie tam lokale i sklepy powinny być poszukiwane; ale stanie się z tym jak z wodą w dwóch naczyniach: co się do jednego naleje, tego w drugim zabraknie. Oględni właściciele domów oszczędzają kupców którzy sklepy u nich wynajmują, wiedzą bowiem że nie tak łatwo przyjdzie ich zastąpić. Dawniejsza konkurencja o sklepy zmniejszyła się znacznie i nie dziwić się temu, bo niewiele one przynoszą.

Powiadają ogólnie, że z postępem czasu ludzie stali się mniej łatwowiernymi, że teraz daleko trudniej ich oszukać aniżeli dawniej. Nie bardzo jesteśmy skłonni wierzyć w prawdę tego twierdzenia. Przynajmniej u nas nie sprawdza się ono wcale, a mieliśmy tego świeży dowód na przedstawieniu dość niezręcznego magika, który ścinaniem głowy tak licznych doprowadził widzów, że dobijano się prawdziwie o miejsca.

Ale braciom Davenportom w żadnym razie niezręczności zarzucić nie można. Przybyli oni do nas poprzedzeni rozgłosem polemicznych artykułów, które przedstawienia ich wywołały w różnych stolicach europejskich i obudzili wyjątkowe zajęcie w tutejszym dziennikarstwie. Rzeczywiście na sztuki przez nich pokazywane mnóstwo dotychczas było tłumaczeń, żadne jednak dokładnie ich nie objaśniło.

Wiadomo że główna część przedstawień przez braci Davenportów dawanych zasadza się na tym, iż związani jaknajdokładniej przez pierwsze lepsze osoby z grona widzów wybrane i zamknięci w szafce,

wyprowadzają tam różne figle, stukania, brzdąkania, kocią muzykę jednem słowem, podwyższając jeszcze wrażenie za pomocą rąk ukazujących się z okienka w szafce wykrojonego, z którego też okienka wyrzucają mnóstwo przedmiotów, a po wyprowadzeniu tych wszystkich scen i otwarciu szafy, ukazują się związani jak poprzednio.

Odwiązują się więc i zawiązują napowrót, zostawiając rozstrzygnięcie tej zagadki domysłowości widzów i nawet pozwalają żeby ktoś z nimi zamknął się w szafie i w takim razie ten ktoś staje się ofiarą różnych figlów, przez wrzekome duchy pukające wyprawianych.

O drugiej części przedstawienia, przy zagaszonym zupełnie świetle, na którą składa się latanie po powietrzu gitar oraz innych instrumentów muzycznych i powtórzenie mniej więcej scen pierwotnie w szafie wyprawianych, wolę zamilczeć, a to z tego głównie powodu, że brak światła otwiera swobodne pole wszelkiego rodzaju kułgarstwu, wymagającym zręcznych pomocników.

Figle jednak w szafie pozostają niewytłumaczone. Ponieważ w Paryżu braci Davenportów wiązano za pomocą kijów, do których przymocowywano sznury, powstał ztąd domysł, że w kijach tych był ukryty mechanizm i to się stało powodem sceny, którą publiczność paryżka sztukmistrzom wyprawiła. Ale tutaj, nauczeni doświadczeniem, obywiają się oni bez kijów. W każdym razie wszelkiego rodzaju przedstawienia z zupełnym brakiem światła wydają nam się niestosownymi, przy liczniejszym zwłaszcza zebrań; bardzo bowiem łatwo podszyc się można pod gitarę albo tamburino, wyprawiając na karb duchów figle, do których zawsze pomiędzy liczną zgromadzoną publicznością chętni zdarzą się lubownicy.

Wolę już pana Faure, ojca pięknej Heleny czarodziejki, bo ten przynajmniej nie każe wierzyć w żadne nadzwyczajności, ale wydoskonaliwszy do najwyższego stopnia zręczność palców, popisuje się z tym, jak przynależy na sztukmistrza. Najciekawsze jednak z całego repertoaru pana Faure są jego bilardowe doświadczenia. Bile wyrzucane przez niego, zaprzeczają wszystkim dotąd znanym prawidłom ruchu i na komendę zmieniają kierunek, zakręślają koła, stają i zakręcają się. W Warszawie taka umiejętność bardzo popłaca, témbardziej gdy za ujrzenie jej płacić nie potrzeba. Wiadomo że za Ludwika XV-go rodak nasz P** miliony zrobił na grze bilardowej, zgrywając u dworu wszystkich markizów, hrabiów etc. Pan Faure mógłby także mieć niezły zarobek, gdyby umiejętność swoją na partye chciał zużytkować. Bo wiadomo że w mieście naszym gra bilardowa na wysokim stoi stopniu; lubowników o grube nawet pieniądze wcale jej nie brak, a nigdzie miłość własna tak wielkiej nie gra roli, nigdzie zręczność nie znajduje przyjaźniejszej pory do maskowania się i ciągnięcia jak to mówią na lisa. Znana jest dobrze historia kilku młodych ludzi, którzy na bilardzie spore potracili majątki. Nie odstręcza to jednak innych, i trudno zaprawdę uwierzyć jak znaczna część młodzieży warszawskiej, głównie pomiędzy trzecią a piątą po południu, szermuje kijami bilardowymi. Zabawa ta zresztą nie ma w sobie nic nagannego, dopóki nie wychodzi z granic zwykłej i higienicznej nawet rozrywki, żeby wkroczyć w dziedzinę szulerstwa.

Pisma publiczne niejednokrotnie już donosiły o powodzeniu jakiego doznawała śpiewaczka nasza pani Jakowicka (Teodozya Friderici) na scenie włoskiej, podczas tegorocznych występów w sezonie karnawałowym w mieście Asti, w teatrze Alfieri. Wiadomo że u Włochów zapał połowicznie się nie wyraża; jeżeli więc jest powodzenie, to już niczego mu nie braknie: ani rżęsiwych oklasków, ani kwiatów rzucanych na scenę, ani nawet poezji, które gorące niebo włoskie hoduje jako kwiat swój uprzywilejowany. Otóż i śpiew pani Jakowickiej wywołał kilka koniecznych w takich razach sonetów, którą przesłano nam w przekładzie pana M. R. Jeden z nich przytaczamy.

Sonet zamieszczony w medyolańskiej Gazetta di Teatri, dnia 5 marca 1867 roku.

Gdy głos twój wdzięczny jak uśmiech anioła

Nadziemskie w sercach obudza wrażenia,
Z zachwytem w duszy pochylamy czoła,
Niosąc ci szczere hołdy uwielbienia.

W akcyi szlachetna, wdziękiem promienista,
Czy głos twój radość czy boleść tłumaczy,
Piękna gdy płaczesz, w uśmiechu tak czysta,
Zapał dla sztuki tchniesz w serca słuchaczy.

Echo twych pieśni w głębi serc zostanie
I brzmieć tam będzie wiecznie, nieprzerwanie,
I jak twa sława nigdy nie przemienie!

A póki budzić nie przestanie cześci
Talent artysty albo wdzięk niewieści,
Pamięć o tobie wśród nas nie zaginie.

Wprawdzie sumiennie wyznajemy, że nie jest to w zupełności zacięcie Petrarkowskie, że nawet tradycya Michała-anioła nie ze wszystkiemi odbija się w tegoczesnych włoskich autorach sonetów; zasługą jednak tego wiersza jest, że wyraża on szczere uwielbienie dla naszej rodaczki i stanie za niezbity dowód powodzenia jej w krainie melodyj.

Od poezji do Przeglądu technicznego przeskok nielada, a jednak trzeba go koniecznie z zamkniętymi oczami uczynić, bo pismu temu dawno już należy się od nas wzmianka. Przegląd techniczny, jedno z rzadkich pism specjalnych u nas wychodzących, ważne już w swoim zakresie oddał usługi. Artykuły w nim pomieszczane odznaczają się w ogólności umiejętnym dobozem i jasnym wykładem, który przystępnymi je czyni dla zwykłych nawet czytelników, z tajemnicami nauki nieobeznanych. Byłoby do życzenia, żeby tak użyteczne pismo, postępując ciągle na równi z nowymi zdobyczami corocznie prawie na polu naukowym czynionymi, rozchodziło się u nas tyle przynajmniej, żeby dalszy jego rozwój został zapewnionym.

Doniesiono nam w tych dniach o bardzo dowcipnej spekulacji pewnego właściciela domu w Warszawie. Dom ten mieści około trzydziestu lokatorów i pan właściciel ma zwyczaj zapraszać się do każdego z nich kolejno na obiad, z tą jednakże restrykcją, że zaraz po pierwszym obchodzi mniejsze lokale i lokatorów uboższych, którym wtedy świeżo odebrana płaca miesięczna. dozwala na pewne udogodnienia w życiu, przy końcu zaś miesiąca zaszczyca swojemi odwiedzinami lokatorów zasobniejszych, na których zamożność gospodarczą pierwszy nietyło wpływa. Tym sposobem, odbywając systematycznie co miesiąc swoje wizyty, wynalazł sposób nie trzymania u siebie kuchni i wykreślenia zupełnego obiadów z budżetu rocznego.

Wdzięczni jesteśmy panu S. Z. z gubernii podolskiej za nadesłaną nam korespondencją i prosimy o częstsze komunikowanie nam z tamtych stron wiadomości.

Z wielką pociechą wyczytaliśmy doniesienie o założeniu w Odesie domu handlowego, trudniącego się zakupem zboża. Rzeczywiście, monopol handlu zbożem, znajdujący się dotychczas wyłącznie prawie w ręku spekulantów, uciążliwie cisnąć musi obywateli, zmuszonych do zbywania produktów rolnych po cenach przez niesumiennych handlarzy im narzucanych. Panowie Giżycki i Czerwiński, podjąwszy się w tym interesie komisowego pośrednictwa i jeżdżąc sami za kupnem zboża, piękny dają z siebie przykład do naśladowania, dowodząc że każda uczciwa praca użyteczną jest i zaszczytną nawet. Pośrednictwo tego rodzaju daje porękę cen rzetelnych i sumiennego handlu, i spodziewać się należy że ogólna korzyść jaka ztąd wypłynie, zagnali i innych obywateli do korzystania z tak zbawiennego wzoru. Tylko umiejętnym a zabiegłym wyzyskiwaniem handlowych stosunków ze strony tych właśnie, którym najwięcej na tym zależy, przemysł rolniczy wznieść się może w tamtych stronach, a wyłożony kapitał i praca odpowiednie wtedy przyniosą rezultat. Pańskie oko konia tuczy, ale lepiej będzie jeszcze koniowi, jeżeli pan, oprócz oka, i ręki nie pożałuje.

Czytając nieraz całe tomy pozbawione treści, tém więcej nauczymy się cenić dobrą, i piękną myśl w kilku zaledwie zawartą słowach, zwłaszcza kiedy nam tę myśl w nadobnym kształcie podaje poeta. Oto czterowiersz Odyńca, który, jako ozdobę kroniki naszej, zachowaliśmy na sam jej koniec.

Czart i anioł zarówno wyższość Boga czuje,
Tylko że czart zazdrości, a anioł miłuje.
Z zawiścią lub miłością czuć wyższość nad siebie,
Jest to doznać mąk w piekle, lub rozkoszy w niebie.

Przegląd polityki zagranicznej.

3 maja.

Opinia publiczna w Europie znacznie się uspokoiła od dni kilku, a obawy natychmiastowej wojny Prus z Francją zmniejszyły się tak dalece, że dzienniki zapowiadają już pokojowe załatwienie sporu. Ta nagła zmiana tonu dziennikarstwa jest naturalnym wpływem odebranych urzędowych wiadomości o przyjęciu przez Francją i Prusy zaproszenia na konferencję do Londynu. Konferencja ta odbędzie się pod prezydencją lorda Stanley, na podstawie programu zaprojektowanego przez Rosyją, zasadzającego się na zneutralizowaniu Luksemburga. Mówiono wprawdzie że Francja zgadza się na konferencję, pod warunkiem że Prusy przed jej zebraniem wycofają swój garnizon z twierdzy luksemburskiej, lecz wiadomość ta, jak się tego spodziewać można było, nie stwierdziła się. Do bezzasadnych także wieści policzyć należy pogłoskę o żądaniu Prus, aby Francja rozbroiła się przed konferencją. Więść ta zresztą upadła w obec odezwania się Monitora francuzkiego z d. 30 kwietnia, pismo to bowiem oświadczyło najwyraźniej, iż przed nadzieją pokojowego załatwienia sporu luksemburskiego, rząd cesarski uważał za konieczne chwycić się środków ostrożności; ale dziś postać rzeczy się zmienia, i dlatego, z rozkazu cesarza, urlopowani pozostaną w swych domach. Co do terminu zebrania się konferencji także zaszła zmiana, zapowiadano ją bowiem na dzień 12 maja, następnie zaś, według urzędowej depechy z Wiednia, w skutek życzeń rządu luksemburskiego, przyspieszono ją o dni kilka, to jest na dzień 7 maja. Tak więc nie ulega już wątpliwości, że Francja i Prusy oddały swą sprawę w ręce dyplomacji; pozostaje tylko pytanie, w jaki sposób rzecz załatwioną zostanie. Według ostatnich z Londynu i Wiednia wiadomości, mocarstwa pośredniczące postanowiły, że obrady konferencji ograniczą się ściśle na kwestyi luksemburskiej, to jest na przejrzeniu traktatów z 1839 roku. Depesza z Paryża z d. 1 maja donosi, że w tymże dniu Monitor, mówiąc o kwestyi luksemburskiej, oświadczył, iż Francja nie chciała przeszkadzać działaniu trzech mocarstw i oddała im tę sprawę, uważa ją wszakże za kwestyą prawa politycznego i interesu powszechnego. To elastyczne wyrażenie się Monitora wywołało w niektórych sferach niepokój, lecz obawy te, jak dotąd, na niczym nie są oparte. Członkowie opozycji w ciele prawodawczym zażądali przez usta p. Jules Favre interpelacji w kwestyi luksemburskiej, lecz komitety, pod wpływem listu p. Rouher do prezesa izby, odrzuciły to żądanie. Z Meksyku pewnych wiadomości niema, tak że o losie cesarza Maksymiliana nic stanowczego powiedzieć nie można. Według jednych Juariści zdobyli Pueblę, oblegają Vera-Cruz i cesarz Maksymilian musi wpaść w ich ręce, a nawet już wydać miał Juares postanowienie, aby obchodzić się z tym monarchą jak z jeńcem wojennym; według innych zaś cesarscy odebrali Pueblę, a cesarzowi udało się wydostać z koła licznych republikańskich oddziałów.

Sprawa luksemburska tak dalece pochłonęła uwagę rządów zagranicznych, iż mimo swój woli mniej zajmują się stanem kwestyi wschodniej. Rząd turecki, korzystając z tego, zwłaszcza po chwilowym załatwieniu serbskiego sporu, wziął się z całą energią do przytłumienia powstania na Kandyi. Według depechy z Korfu z d. 30 z. m., Omer-basza rozpoczął kroki wojenne na czele 56 batalionów turecko-egipskich, przeciw nielicznym hufcom greckim, wynoszącym podobno około 6000 ludzi. Tymczasem z Belgradu piszą do dzienników austriackich, że

Serbowie wystąpią wkrótce z zażądaniem od Porty Bosnii, oraz całej granicy dawnego państwa serbskiego i gotowi są nawet chwycić się oręża, jeżeli Turcy odmówi temu żądaniu. Przypuszczają też że między Serbią i Czarnogorą stanął układ, na mocy którego, w razie bezdzietności księcia Michała, rządy Serbii przejdą w ręce książąt czarnogórskich; wiadomości te wszakże wymagają potwierdzenia. W Konstantynopolu zajmują się urzędzeniem rady państwa. Poseł grecki, pan Deljanis, oświadczył w imieniu swego rządu, że Grecya stawiać będzie opór zbrojny wojskom tureckim, jeżeli te przekroczą zechcą granice królestwa.

Na posiedzeniu izby gmin w Londynie w d. 29 z. m. lord Stanley oświadczył, iż przyjęcie propozycji konferencji przez Prusy i Francją wyraża nadzieję pokojowego załatwienia sprawy, lecz nie może ręczyć za skutek obrad. Minister angielski dodał także i to, że królowa nie wydała sądu w zachodzącym sporze i że rząd angielski, stosownie do dawniejszych swych oświadczeń, trzymać się będzie w razie wojny jaknajściślejszej neutralności. Times, w artykule wstępnym, wątpi nieco o powodzeniu konferencji, nie traci wszakże nadziei że mocarstwa pomyślą o zaprowadzeniu stałego pokoju w Europie i w tym celu proponuje aby konferencja poleciła ogólne rozbrojenie. Z Berlina donoszą, że w dniu 29 z. m. Król Wilhelm otworzył osobiście posiedzenia obu izb sejmowych i zagał je mową tronową, odznaczającą się umiarkowaniem i spokojem. Najwydatniejszym ustępem tej mowy jest wzmianka o rozciągnięciu traktatów zaczepno-odpornych zawartych z południowymi państwami, na cały związek północny, przyczem król dodał, że rząd jego unikać będzie wszelkiego zakłócenia pokoju Europy, i że Niemcy, silne swą jednością, mogą spokojnie w przyszłość spoglądać. Z Wiednia piszą że przygotowania do koronacji cesarza w Peszcie nie ustają i że dekretem cesarskim przywróconą została instytucja gwardyi szlacheckiej węgierskiej. W końcu zeszłego miesiąca odbyły się w Berlinie zaślubiny hr. Flan-dry, brata króla belgijskiego, z księżniczką Maryą Hohenzollern, siostrą ks. Karola, władcy Rumunii.

Rząd rzeczypospolitej chilijskiej zgodził się na pośrednictwo rządu waszyngtońskiego w zatargach swych z Hiszpanią.

Ostatnie depechy. Barcelona, 1 maja. W mieście panuje ogólne wzburzenie umysłów. W katalonii demonstracye przeciw generał-kapitanowi. Do Saragossy i Figueras (w górach) wysłano pospiesznie siły zbrojne. Uzbrojone bandy mają za hasło: „Niech żyje Prim, przez z królową i Narvaezem!“

Londyn, 30 kwietnia. Na zapytanie Griffitha czy rząd angielski podejmie się gwarancji neutralności Luksemburga, lord Stanley odpowiedział w izbie niższej, iż nie należy uprzedzać rezultatu obrad konferencji.

Paryż, 30 kwietnia. Zaproszenia na konferencję mocarstw podpisanych na traktacie z 1839 r., wysłane zostaną w imieniu króla niderlandzkiego. W mowie króla pruskiego, France widzi szczerą chęć utrzymania pokoju.

Wiedeń, 1 maja. Abendpost donosi, że konferencja zbierze się w dniu 7 maja w Londynie. Baron Brunnow, hr. Bernstorff i hr. Apponyj, posłowie Rosyi, Prus i Austrii przy dworze angielskim, reprezentować będą swoje rządy na konferencji.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)



Pannie H. w Wilmie. Rozwiązanie tak skomplikowanego zadania szachowego N. 351 zupełnie jest dobre, i szczerze go wieszujemy młodej szachistce, jeżeli rzeczywiście ku temu żadnej nie użyła pomocy.

Panu H. w Zawierciu. Życiorysu Eigera, nadrabina poznańskiego, zamieścić nie możemy, nie upoważnia nas bowiem do tego żadna ogólniejsza zasługa zmarłego. Fotografiją zwracamy.

Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

(Dokończenie).

Bytność w powietrzu wielu materij skryształizowanych zdaje się być stanowczo udowodnioną. P. Geruez wykrył niedawno w powietrzu atmosferycznym siarczan sody i pomimo stawianych zarzutów, okazał doświadczeniami istnienie tej soli w żywiole którym oddychamy. W retortce platynowej, stosownie oczyszczonej, dystylował on dwukrotnie wodę i przez cały tydzień przepuszczał przez nią powietrze za pomocą rurki zgiętej w kształcie litery U, oczyszczonej równie dokładnie jak retortka. Po upływie powyższego czasu i po odbytem odparowaniu, dostrzeżono pod mikroskopem bardzo wyraźne kryształki siarczanu sody, obok innych materij mineralnych skryształizowanych. W doświadczeniu tém zainteresował żywo obecnych jeden szczegół: materia krystaliczna znikła na suchym kawałku szkła, lecz za dmuchnięciem na płatkę szklaną kryształki zjawiały się nanowo, znikając następnie po pewnym czasie. Doświadczenie odbyto w obszernym parku, odległym od budowli, w obecności znakomitego chemika Thénarda, który ten szczególny fakt podaje.

Dotychczas znano dwie odmiany allotropowe fosforu: zwykły, ciężkości gatunkowej 1,82 i czerwony, ciężkości gat. 2,14, daleko mniej lotny od pierwszego. Obecnie niemiecki chemik Hittorf odkrył fosfor metaliczny czyli skryształizowany, ciężk. gat. 2,34, cięższy od fosforu czerwonego i mniej od niego lotny. Fosfor pomiędzy pierwiastkami zajmuje miejsce obok arseniku, antymonu i bizmutu. Właśność tego ciała ulatniania się pod wpływem ciepła bez topienia się, pozwalała wnosić, że je będzie można krystalizować i że wtedy przyjmie formę charakteryzującą grupę ciał do których należy, co też udało się osiągnąć za pomocą drogi przez p. Hittorfa obranej. Korzystając z własności ołowiu rozpuszczania w wysokiej temperaturze fosforu czerwonego i osadzania go po ostudzeniu się, wprowadza on te dwa ciała w rurkę szklaną zamkniętą i pozbawioną powietrza, którą z kolei umieszcza w większej rurce żelaznej, wypełniając przestrzeń między ścianami obu rurek magnezem; poczem cały przyrząd zamyka się blaszkami przysrubowanymi do końców rurki żelaznej i ogrzewa płomieniem lampy Bunsena przez 10 godzin. Po oziębieniu, na powierzchni ołowiu ukazują się blaszki pryzmatyczne, blasku metalicznego, z czarnym refleksiem, pod światłem czerwone, w powietrzu niezmiennające się. Można prócz tego z pozostałej masy ołowiu otrzymywać podobne kryształki, rozpuszczając ją na zimno w kwasie azotnym. Kryształki są sześciannymi izomorficznymi, z kryształami arseniku, antymonu i bizmutu i stanowią trzecią odmianę allotropową fosforu. Ciężkość gatunkowa pary fosforu metalicznego jest daleko mniejszą od pary innych odmian tego pierwiastku, fakt trudny rzeczywiście do objaśnienia.

Ciepło jakie otrzymuje ziemia od słońca za dnia, rozprasza się w nocy, skutkiem promieniowania naszej planety, której powierzchnia nigdy zbyt nie rozgrzać się nie może, będąc wystawioną, średnio biorąc, tylko przez 12 godzin na działanie promieni słonecznych. Co innego zachodzi z księżycem w czasie ostatniej kwadry; niektóre części jego powierzchni wystawione są wtedy bez przerwy na promienie słoneczne przez 180 godzin, z czego wynika że powierzchnia naszego satelity rozgrzewa się nadzwyczaj silnie. P. Park Harrison, znany z badań dotyczących się wpływu księżyca na temperaturę ziemi, w ciekawej nocy złożonej Towarzystwu brytańskiemu postępu umiejętności, traktuje o tym przedmiocie, utrzymując że kiedy księżyc kończy pierwszą swą kwadrę, temperatura jego jest najniższa, a przeciwnie przy końcu ostatniej kwadry najwyższa, dochodzi bowiem, według obrachunku Harrisona i Althansa, 840° Fahrenheita, czyli 450 stopni ciepłomierza stustopniowego, a tém samem przewyższa punkt topienia się cyny i ołowiu. W czasie największego zimna temperatura księżyca zniżyłaby się



Jarmark w Habelswerde.

(Kopia z akwareli Juliusza Kossaka, sfotografowanėj w zakładzie Brandla). Obraz ten, zakupiony przez warszawskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych do rozlosowania w końcu r. 1866, wygrał p. mecenas Wrotnowski w Warszawie.

CHARAKTERYSTYKA OBIADÓW.

Pomysł i rysunek H. Pillatego.

(Dokończenie).



Obiad u kabatnika.

do 70° niżej zera; różnica przeto pomiędzy temi dwiema ostatecznymi granicami wynosiłaby 520 stopni. Wypadki te, bardzo do prawdy zbliżone, otrzymano, przyjmując że ciepłik księżycy równoważny jest z ciepłikiem kwarcu. Gdyby księżyc posiadał atmosferę, lub wody na swój powierzchni, owe nadzwyczajne zmiany w temperaturze wpłynęłyby musiały koniecznie na jego kształty zewnętrzne.

* * *

Odkrycie ozonu atmosferycznego nadało nowy zwrot pojęciom o uczestnictwie powietrza w przenoszeniu zaraźliwych miazmatów. Czém jest ozon, nie wyrzekała jeszcze stanowczo nauka; jedni nazywają go tlenem czynnym, drudzy tlenem zelektryzowanym. Schönbein, wynalazca ozonu, utrzymuje, że tlen składa

się z dwóch ciał odmiennéj elektryczności: ozonu i anti-ozonu; puszczone nawet pogłoskę dość pocieszna, że znakomitemu chemikowi z Bâle udało się odosobnić owe dwie tajemnicze substancje. Nowego apostoła ozonometrii znajdujemy obecnie w p. Houzeau z Rouen. Wpływy powietrza na zmiany papieru jodowanego przypisuje on działalności chemicznej powietrza, zależącej przeważnie od zjawisk meteorologicznych, jakoto: wiatrów, pary wodnej, orkanów i t. p. zaburzeń atmosferycznych. Wiatry i wilgoć powietrza powiększają zwykle owę działalność, jakkolwiek nie wpływają bezpośrednio na reakcją niebieszczenia papieru. Liczne spostrzeżenia wykazały różnicę zachodzącą w zachowaniu się papieru odczynnikowego w miastach i wsiach, gdzie szybkim odświeżaniu się powietrza nie przeszkadza, a tém samém działalność chemiczna objawić się może silniej niż w ciasnych ulicach miejskich, w podwórkach lub w osłoniętym pokoju. Przypiąwszy do linijki drewnianej pewną liczbę papierów

odezynnikowych, wprowadźmy ją w rurkę szklaną stosownej długości, w jednym końcu otwartą; papierki będące wewnątrz zachowują swój kolor, znajdujące się zaś zewnątrz nad rurką, przybiorą barwnik niebieski. Fakt ten pokazuje, jak ważną rolę w tej reakcji gra ilość powietrza. Na zmiany papieru odczynnikowego wpływają wszelkie silne wstrząśnienia atmosfery, jak: burze, trąby, huragany, działające nawet z wielkich odległości, tak że z samej obserwacji papieru możemy odgadnąć, że nastąpiły lub zbliżają się zaburzenia powietrzne, chociaż żadnej innej na to nie posiadamy wskazówki. Podobnież zorze północne i nawałnice z odległości zdradzają swą bytność przez oscylacje igiełki magnesowej. Wpływ reszta działania chemicznego, pomimo wielkich przestrzeni, jest własnością szczególną

i ciekawą. Houzeau przytacza uderzający fakt tego rodzaju. We wrześniu r. z. papier jodowany nie okazywał od wielu dni żadnej czułości, gdy nagle bez widocznej przyczyny w dniu 21 zaczął przybierać mocną barwę niebieską; niebo było czyste, powietrze spokojne, słońce przesyłało miastu Rouen jasne swe promienie i nic nie zwiastowało burzy. Nazajutrz zagadka rozwiązana została, dowiedziano się bowiem że straszliwa trąba, z gwałtowną ulewą połączona, nawiedziła tegoż dnia o 2éj godzinie po południu Etrat nad brzegiem morza położony, o dziewięć mil polskich przeszło wstronie północno-zachodniej od Rouen odległy. Orkan wskazany był także przez odczynnik w Fecamp, w stronie północno-wschodniej od Etrat leżący; działalność chemiczna objawiła się tu przeto na bardzo szerokim promieniu, utrzymując reakcją przez trzy dni, aż do 24 września. Z uspokojeniem się powietrza, papier odczynnikowy nie powlekał się już kolorem niebieskim. Wielka burza 2go grudnia 1863 r. wywołała



Obiad pod śł.ńcem

reakcyę zupełnie do powyższej podobne. Według spostrzeżeń p. Houzeau, wielkie zaburzenia atmosferyczne, jak: ulewy, trąby, orkany, wpływają przeważnie na własności chemiczne powietrza i oczyszczają je z wszelkich zarodków zaraźliwych, przywracając naruszoną równowagę. W czasie epidemii papierów ozonometrycznych nie powlekają się wcale barwą niebieską. Przy ciągłych studiach nad ozonem, którym się uczeni z zamiłowaniem dziś oddają, spodziewać się należy, że owe tajemnicze jego wpływy wyjaśnione w końcu zostaną.

* * *

Machina magneto-elektryczna, zastosowana do oświetlania wielkich odległości, pomysłu fizyka angielskiego p. Wilde, przechodzi nadzwyczajną siłą



Obiad przy księżycu.



Zawsze po obiedzie.

wszelkie dotąd znane tego rodzaju przyrządy i sprawy niezawodnie prawdziwy przewrót w systemie zastosowań siły elektrycznej. Aparat wynalazcy zajmuje mało miejsca, jest lekki i łatwoprzenośny; pomimo jednak małej swój objętości, wydaje snopy światła olśniewającego blasku i ciepło roztopiające w mgnieniu oka metale najtrudniej topliwe. Na płacie maszyny sztabki żelaza rozpalają się do białości, spływając w kroplach na ziemię; platyna, złoto, srebro, topią się jak śnieg pod wpływem słońca. Przyrząd wynalazcy składa się z dwóch kondygnacji na sobie ułożonych, większej i mniejszej. Pierwszą, umieszczoną wyżej, tworzy magnes w kształcie cylindra, kalibru 6 centymetrów, na którym spoczywa w formie podkowy 16 magnesów stałych, noszących 10 kilogramów każdy. Kondygnacją niższą stanowi także cylindro-magnes, ale kalibru 19 centymetrów; mieści się on pomiędzy biegunami elektro-magnesu, na który działają prądy z maszyny górnej płynące. Elektro-magnes ten składa się z dwóch równoległych plat z żelaza walcowanego, okręconych drutem długości 1000 metrów (3466 $\frac{2}{3}$ stóp pol.) i znosić może około 5000 kilogramów (12328 $\frac{1}{8}$ funta), szesnastcie zaś magnesów stałych znosi razem zaledwie 160 kilogramów (394 $\frac{1}{2}$ funt.) Armatura cylindrowego magnesu 18 centymetrowego kalibru, daje 1700 obrotów na minutę; wprawia ją w ruch niewielka maszyna parowa siły 3 konnej. Prąd powstający w drucie cylindro-magnesu uższego jest tak potężny, że pali ołówki z węgla preparowanego, grubości 2-ch centymetrów. P. Wilde urządził nadto maszynę z 3-ch cylindro-magnesów, a mianowicie pierwszego kalibru 4 centymetrów, uzbrojonego sześcioma magnesami stałymi, z których każdy 1 funt waży, drugiego kalibru 13 centymetrów i trzeciego cylindro-magnesu 25 centymetrów średnicy w świetle; elektryczność dynamiczna, w ten sposób stopniowany rozwijana, stapiała drut żelazny 6 milimetrowej średnicy, 37 centymetrów długości mający; za pomocą zaś innej armatury, zwaną armaturą *natężenia* (o długim drucie), wynalazca stapiał drut żelazny téjże grubości, a długości około 7 stóp. Siła oświetlająca wydana przez armaturę natężenia była zdumiewająca. Lampa elektryczna, z dwoma ołówkami węglowymi 12 milimetrów grubości w ścianach mającymi, ustawiona na szczycie wysokiego budynku i skomunikowana z maszyną z 3-ma powyżej opisanymi cylindro-magnesami, wydawała tak mocne światło, że w promieniu długim na 1386 $\frac{2}{3}$ stóp pol. odrzucało ono na mury domów cienie płomieni gazowych ulicy; wiązka światła przesyłana reflektorem, posiadała blask słońca wyrównujący; arkusz papieru uczulonego chemicznie, umieszczony w odległości przeszło dwie stopy wynoszącej, wystawiony przez 20 sekund tylko na wpływ tego silnego promieniowania, czerniał w równym stopniu, jak wystawiony w południe na działanie promieni słonecznych, przez minutę w czasie pogodnego dnia marcowego; umieszczając przeto ten papier w odległości 1-go metra od światła elektrycznego, skutek zupełnie wyrównałby promieniowaniu słońca. Podziwiać musimy genialny pomysł wynalazcy, który za pomocą kilku drutów i kawałków żelaza nadał magnesom stałym siłę 30, 40 albo 100 razy większą od zwykłej otrzymywanej i utworzył z nich niewyczerpany rodzaj elektryczności, światła i ciepła. Wynalazek p. Wilde znajdzie szerokie zastosowanie, wszędzie gdzie dawnych maszyn nie można było używać; jako przyrząd małej objętości i przenośny, z łatwością się umieści na wózku z lokomobilą i niezrównane odda usługi, zwłaszcza w czasie wojny, w przesyłaniu depesz telegraficznych, w oświetlaniu i podpalaniu min. Próbowano wreszcie z powodzeniem oświetlać za pomocą niego drogę okrętom żeglującym w nocy. Nakoniec system nowy da możność budowania maszyn magneto-elektrycznych bardzo małych wymiarów, a tęp samym ceny przystępnej dla każdego. Fotografowie zagranicą korzystają już z tego pięknego wynalazku, a otrzymane za pomocą niego odbicia, nie ustępują wcale zdjęciom przy świetle słonecznym, które odnośnie do téj sztuki może w niedalekiej przyszłości wyręczanym będzie przez światło elektryczne.

P. Ransome, chemik angielski, wynalazł sposób otrzymywania kamieni sztucznych wielkiej wytrzy-

małości, których użyteczność liczne próby wykazały; używać ich można do wykładania chodników, wyrobu schodów, kamieni młyńskich, szlifierskich, dachówek, oraz bruków najrozmaitszego kształtu i wymiarów.

Fabrykacya zasada się na pomieszeniu małej ilości krędy dobrze sproszkowanej z piaskiem; mieszanina umieszcza się w kadzi, gdzie się tłuczenie odbywa; następnie dodaje się roztwór krzemianu sody, ciężkości gatunkowej: 1, 7 w stosunku $4\frac{1}{2}$ kwart krzemianu na 36 kwart piasku i krędy. W ciągu czterech minut kompozycya gotową jest do przejścia w formy odlówne, zachowuje nadane jej kształty, nie zsyca się i nie rozchodzi; prasowanie odbywa się ręcznie w pudłach drewnianych, poczem cała masa przechodzi do kąpieli złożonej ze skoncentrowanego roztworu chlorku wapnia, gdzie zostaje przez trzy godziny, za poprzedniem zmożeniem jej tymże roztworem. Zachodzi wtedy podwójny rozkład, skutkiem którego tworzy się cement nadzwyczajnej twardości z krzemianu wapnia.

W zakładzie p. Ransome wyrabia się krzemian sody następującym sposobem. W roztworze sody kaustycznej i wody gotują się krzemienie aż do zawrzenia, które powinno następować pod ciśnieniem kilku atmosfer. W tym celu używają kotła o wysokim ciśnieniu i szeregu zbiorników, a raczej odbieralników poziomych, mogących też samo ciśnienie wytrzymać. Na spodzie każdego z nich znajduje się węzownica z parą, pokryta kratą żelazną, na której leżą krzemienie; kocioł dostarcza pary zbiornikom wypełnionym roztworem sody, krzemienie zaś po zawrzeniu płynu rozpuszczają się w nim z łatwością. Po skończonej operacji wydostają szkło rozpuszczalne i parują aż do ciężkości gatunkowej 1, 7.

We Francyi beton Coignet'a posiada wszelkie przymioty kamienia sztucznego p. Ransome i używany jest coraz więcej do najrozmaitszych wyrobów. Wynalazki powyższe tęp są ważniejsze, że dotąd bruki miejskie nie posiadały odpowiedniego potrzebie i taniego materiału.

Morze posiada szczególne gatunki ryb, wydających tony muzyczne. Wiadomości dotyczące się tych śpiewaków były dotąd bardzo niedokładne; dopiero w ostatnich czasach, a mianowicie w ubiegłym roku, p. Dufossé zbadał te istoty szczegółowo.

Według tego naturalisty pięć tylko istnieje gatunków ryb śpiewających. Wydawanie dźwięków pochodzi z drgań pewnych muskułów, kurczących się dowolnie; drgania te następnie przechodzą do pęcherza pławnego, który je wzmacnia, podobnie jak pudło skrzypcowe tony ze strun płynące. Dufossé odkrył nadto oddzielne muskuły jeszcze nieopisane, nazwane przez niego *muskułami międzyżebrowymi*, przyczyniające się głównie do wydawania dźwięków przez powyższe twory wodne.

Z pięciu tych gatunków, umbrzy przesyłają dźwięki najsilniejsze; kształt, wielkość i siła ich organów brzmiących jest najdziwniejszą, a głos ich w czasie tarcia bywa tak mocny, że nazwane być mogą *żyjącymi organami*. P. Dufossé mniema, że pomieszanie rozgałęzień pęcherza z wiązkami mięsnymi sąsiednich muskułów, tworzy ów instrument fizyologiczny i muzyczny, jaki nie istnieje u żadnego gatunku ryb zaludniających morza europejskie.

Zamykamy rubrykę naszą studiami p. Guyon'a, członka Akademii paryzkiej, nad lemingiem norweskim, zwierzątkiem do rodziny gryzących należącym, które u niego przez trzy lata w mieszkaniu pozostawało. Pomimo obszerności lokalu i wszelkich wygod życia, leming w bezustannym ruchu dzień i noc pracował nad wyswobodzeniem się, gryząc i dziurawiać drzewo najtwardsze, gnąc i szczybiąc żelazo.

P. Guyon, dla powiększenia swobody niespokojnego lokatora, pozwolił mu przebiegać wszystkie pokoje, niepodobna jednak było pozostawić żadnych drzwi zamkniętymi, rzucał się bowiem na nie zapalczywie, niszcząc je stalowymi zębami. Praca podobna zajmowała go zawsze tak dalece, że stawał się głuchym na wszystko; chwytało przeto niszcyciela, ale wtedy oburzenie zwierzątka dochodziło do najwyższego stopnia, wywołując złość najgwałtowniejszą. Z krzykiem słuch rozdzierającym obrzucał leming obfitą śliną służącego, a kiedy zdołał

pochwyć zębami rękę, nie puszczał krwawej zdobyczy.

Rany przez leminga zadane są głębokie i powoli się goją, ślina bowiem zdaje się rozjątrzać rany. Norwegczycy przypisują jej jadowitość, według opinii jednak p. Guyon'a, skutki ukąszenia pochodzą raczej od rozdrażnionego stanu zwierzątka, wiadomo bowiem że rany zadane przez zwierzęta zbyt rozjątrzone, są zawsze niebezpiecznymi, jak to wielokrotnie na psach sprawdzono. Według doświadczeń p. Guyona, to małe zwierzątko żywi się wszelkimi pokarmami, a chleb, orzechy, figi, winogrona, cukier z widoczną przyjemnością spożywa. Laponczycy séry swoje, przyrządzane z mleka renifera, pomieszanego ze szczawiem, zakopują głęboko w ziemię, aby je zabezpieczyć od lemingów. Zwierzątko to lubi też wszelkie słodycze; w czasie podawania deseru, wdrapywało się często na stół, dla skosztowania łakoci, umykając za najmniejszym poruszeniem.

W pokojach leming gryzł wszystko co mógł dosięgnąć zębem: drzewo, tkaniny, bawełnę, miedź, nawet żelazo.

Lemingi w walce z sobą są nadzwyczaj zapalczywe, biją się na śmierć, a zwycięzca pokonanego przeciwnika szarpie zawsze na sztuki. Wieśniacy norwescy strzegą się gołą ręką je chwycić, z obawy bolesnych ukąszeń; pomimo jednak wrodzonej dzikości tych zwierzątek gryzących, w pewnym stopniu oswajac się one dają.

Wielkie wędrowki lemingów norweskich odbywają się w jesieni. P. Martins i Bravais byli świadkami jednej z nich we wrześniu 1839 r. P. Guyon jednakże obserwował takie wyprawy w czerwcu i w lipcu 1863 r. Wielu podróżnych utrzymuje, że oczyną tych zwierzątek są góry oddzielające Szwecję od Norwegii. Francuzki naturalista sądzi przeciwnie, że spuszcza się ze wzgórz skandynawskiego półwyspu i na dowód przytacza, że znaleziono je na szczycie Klinkinbergu.

LISOWCZYKI.

(Objasnienie do akwareli Kossaka „Jarmark w Habelswerde.“)

W pierwszych latach XVII stulecia, w czasie wojen za panowania Zygmunta III toczonych, zaszła nieznacznie pierwsza i najważniejsza zmiana sposobu wojowania, zmiana którą cała Europa przyjęła i nad którą wyrobieniem dotąd jeszcze bezustannie taktycy pracują.

Gdy dawniej prowadzono wojny z ludźmi w żelazo od stóp do głów okutymi, a zatem ociężałymi i do lekkich ruchów niezdolnymi, Tatarzy, w swoich najazdach na niektóre zachodnie kraje pierwotnego przedcywilizacyjnego sposobu używając, okazali światu wyższość szybkości nad ciężką siłą, która ich dosięgnąć nie mogła.

W ślad za nimi pierwsi w Europie Polacy ulżyli sobie nieco uzbrojenia; lecz stanowczego w tym systemie przewrotu dokonał dopiero Aleksander Lisowski, zmarły w r. 1616, który na jednej wyprawie, uzyskawszy pozwolenie hetmana Chodkiewicza, zebrał dzielnych mołojców i uzbroił ich po swojemu, bez pancerzy i kolczug, szablą tylko i łukiem, lub muszkietem i rohatyną, jednym słowem utworzył dzisiejszych ułanów, ze służbą podjazdową kozacką, a lotny ten zastęp, zasłynawszy niebawem szeroko, od twórcy swego otrzymał nazwisko Lisowczyków.

Kilka tysięcy takich ochotników na wszystko odważnych, nieskrępowanych zbytnią formalnością, tak że każdy czuł swoją osobistość w szyku, nie znając wygód ni bojaźni, bez szlug, bez wozów i ciężarów, a co nadewszystko, pod dzielnym wodzem, którego sobie sami obierali, musieli się stać postrachem miast otwartych i małych nieprzyjacielskich oddziałów. Wprzód nim o nich wieść nadleciała, spadali jak z obłoków, zwyciężali, zdobywali, brali łup i uchodzili, a nieprzyjaciel zdziwiony nie wiedział co począć, szlachta zaś rycerska nienawidziła ich, z powodu że taka zbieranina w wojennym jarzemiście przechodziła.

Lisowczycy nie brali żołdu: każdy żył z tego co zdobył; ztąd naturalnie musiały dziać się nadużycia, powstawać skargi, sądy, wreszcie słuszne czy niesłuszne na nich oburzenie. Wszystko to jednak

nie przeszkadzało, że gdzie tylko w boju się pokazali, tam zwyciężali i słynęli. Dobrych też wodzów nigdy im nie zabrakło, dopóki w oddzielnych hufcach istnieli, to jest do końca swego bytu, przy schyłku wieku XVII przypadłego.

W swoim czasie Lisowczyki głośne były w całej Europie; pisano o nich dziwy zagranicą, malowano wizerunki, opowiadano niestworzone powieści, zwłaszcza kiedy pobożny Zygmunt III po trzykroć wysyłał ich na pomoc cesarzowi rzymskiemu, dla pokonania zaburzeń religijnych pomiędzy różnoliercami niemieckimi w latach 1618, 1621 i 1623, syn zaś jego w latach 1634, 1635 i 1636. Tam oni cudów waleczności dokazywali, mianowicie na Szląsku, w Czechach i w Niemczech, zapuszczając się po za Ren, aż do granic Francji. Wyprawy ich w obce kraje i czyny tam dokonane opisał wiernie ksiądz kapelan Lisowczyków, Wojciech z Konojad Dembołęcki franciszkanin, postać także niezmiernie ciekawa, w dziele noszącym tytuł: *Przewagi Elearów polskich, co ich niegdy Lisowczykami zwano*. Poznań 1623 r. Jako naoczny świadek, skreślił on wszystkie szczegóły owej wojaczki, nie pomijając przygód, które ze względu swęj osobliwości, dla artystów-malarzy dostarczyć mogą obfitych i zajmujących materiałów.

Jedną właśnie z takich przygód obrał sobie Juliusz Kossak za przedmiot do obrazu, odtworzonego w załączonym drzeworycie.

Jest to scena wedle opisu ks. Dembołęckiego, kiedy Lisowczyki, znajdując się w r. 1622 na Szląsku, zręcznym obrotem niespodzianie napadłszy, rozbiły obóz nieprzyjacielski pod miastem Habelswerde, z czego korzystając, nieuczynne przedtem wojsko cesarza Ferdynanda II, rzuciło się do grabieży pokonanego przeciwnika.

Historyk malowniczo opowiada, jak leniwe rajtary skoczyły wtedy „rezolucyjnie najprzód do obozu, aby zabitych obdzierać, a potem do różnych wsi okolicznych, bydło z nich, owce i co jeno znaleźli, a nawet i okna, kotły, garnce miedziane i t. d., wszystko to (miasto więźniów) do Habelswerde na przedaj zaganiając.“

„Rzecz bardzo strojna było widzieć (są jego słowa) między wielą takich inszych, kiedy jeden rajtar dobrze ubrany, konewek, flaszek i t. d. około siebie nawiąawszy, geś z gąsieniami jeszcze zieloniusienkami do miasta zaganiając, z pułkownikiem się elearskim i kilką jego rotmistrzów z miasta jadących potkał. Drugi za nim ciele, kozę i owcę, ko-

niowi u ogona jak charty na smyczy uwiązawszy, a pstrą koteczkę na rękę miasto zająca trzymając, z łów się wracał. Trzeci zaś, trochę opodał za nim świnie także u ogona koniowi uwiązawszy, z kotłem na głowie, a garncem mleka w lewej ręce, za nimi leniwo doganiając, włókł rozdartą pierzynę naksztalt sakiew najukowaną, w której pierzynie tak pospołu i z pierzem na jednej stronie widać było kilka pości słoniny i parę indyków, a na drugiej kobietę pojmaną, z pierza się obierając.“ (Roz. XXV, str. 66).

Scenę tę, pełną humoru i rozmaitości, wybornie oddał artysta. Dziwacznie objuczonych łupami rajtarów, spotyka pod murami miasta na pysznym rumaku jadący dzielny pułkownik Lisowczyków Stanisław Strojnowski, wraz ze swymi towarzyszami, spoglądając wstrętnie na postępek łupieżców. Na jego twarzy maluje się uczucie pogardy nieszlachetnego czynu; rajтары zaś odbywający ów pochód, w charakterystycznych przedstawieni są postaciach.

Zastarzałe pojęcia.

Tyś dyademem, poezjo! koroną
Z kwiatów, ze złota i z drogich kamieni,
Z gwiazd i z księżycy i ze słońc promieni,
Cudną, ponętą, jasną, upragnioną...

Ale w twém wnętrzu tyś cała pomięta
W żelazne ostrza i w ciernie sterczące,
W węzowe żądła i w haki szarpiące,
Straszna, zaćmiona, poczwarna, przekłeta!

A biada temu, kto twych ulud zorze
Zewnętrzne ujrzał i wznosił ku nim dłonie,
Pochwycił żądnie i włożył na skronie...
Biada! bo nigdy zdjąć cię już nie może.
Prawda, że czasem witan jest okrzykiem,
Pojony zdumień napojem jest wonnym,
Głoszony wielkim, obwołan koronnym...
Tak! On koronnym, ale męczennikiem.
Włosienic męki i biczowań bole,
Na pokutnika obnażonem ciele,
Są jako błogość, lubość i wesele
Przy tem poezją uwieńczonem czole;
Bo wszystkie czucia, co dla serca tłumy
Zwykłym objawem życia zwykle płyną,
Bez szczęść się rodzą i bez bólu giną,

Serca potęgi, potęgi rozumu,
Miłość dla Boga, ludzkości, rodziny,
Usmiej powitań i łzy pożegnania,
Szary bieg życia, pożądań zarania,
Bezbarwne lata i jasne godziny,
Wszystko co tłumom tak w miarę przychodzi,
Mieści się w sercu i życie ich ima,
Pod tą koroną wyrasta w olbrzyma,
Mieni się w nędzę, lub w majestat rodzi!
I tak koronne to serce i życie
Nie mogą mieścić dni tych ziemskich doli;
Życie nie starczy dla szczęścia czy boli,
Nie starczy serca wysilone bicie.
Wieszcz miary nie ma ni pośredniej drogi;
Znane mu tylko przepaście lub szczyty,
Grobowe czernie, lub niebios błękity,
Poczwary tylko, albo tylko Bogi!

A wieniec? Wieniec często się rozwieje,
Klejnoty drogie głód nieraz wytraci,
Rdza życia padnie i blask złota zmać,
Promień, śród nędzy nacisku, omdleje,
Niedola z kwiatów obdrze koronę...
Lecz w środku — ostrza wznawiające blizny,
I cierń z wieczystą kropelką trucizny
Zostaną zawsze... krwawiące, skrwawione...
Tłum, co zwał wieszczą koronnym i świętym,
Nazwie szyderez z głupoty mściwością
Koronę szychem, — majestat nicością,
Człeka nędzarzem, a wieszczą — przekłętym!

A. K.

HISTORIA RZYMSKA

MOMMSENA.

Zeszyt 6y wyjdzie 10 maja r. b.
Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów, czyli zeszytów 36. — Cena rsr. 8. — Prenumerata przyjmuje się po rsr. 1.
Pragnący na prowincyi mieć to dzieło, przyślą raczą pod adresem wydawcy rsr. 4, oraz przy odbiorze zeszytu 12go drugie rsr. 4, a egzemplarze będą sobie mieli przesłane franco.

Józef Unger.

LUTNIA MOJA.

Muzyka ś. p. Emila Jenike'go, słowa L. J.

Z umiarkowaną szybkością.

1. Gdy-by mi przy-szło o - - pi-sać cię slo-wy, Gdy-bym o-kre-ślić
2. Gdy-bym do pen-dzła się po-rwał zu chwa - le, By od - ma-lo-wać
3. Lecz kie - dy w stru-ny u - de - rzę na - mię - tnie Gdy za - trę w my-śli

wdzięk twój chciał,
ry - sy twe,
wspo-mnień ślad,
Achl kóżby wtenczas do - star-czył mi mo - wy.
Mo - że bym kształt twój u - chwy-cił w za-pa - le
W ser-cu tak ja - koś u - ro - czo, choć smę - tnie

I go-dne cie - bie pie - nie dal?
I o - dział bar - wną w złu - dnęj grze.
I dziwnie ja - sny ca - ly świat.

Dar - mo bym śle - dził
Lecz choć by po - stac
Mnie-mam na chwi - lę

w wiedzy wszech dzie-dzi - nie, Po wy - obra - żni mglistej gdzieś kra - i - nie; To cze - go szu - kam, nie zna - lażl - bym tam:
 two-ja, ja - ko zo - rza, Z pro - mienia - ce - - go światel wy - szła mo - rza; O! to nie o - braz co w du - szy go mam:
 żem u - szczę - śliwio - ny, Z pod mo - jęj rę - ki, brzmią we - se - lne to - ny; I wte - dy ser - cem nie je - stem już sam:

molto cresc. p

Więc tyl - ko na méj lu - tni gram. Rzewnie.
 Więc tyl - ko na méj lu - tni gram.
 Dla - te - go na méj lu - tni gram.

cresc. p śpiew wydatnie.

namiętnie p

Na zakończenie:

pp ritard. D. C. morendo.

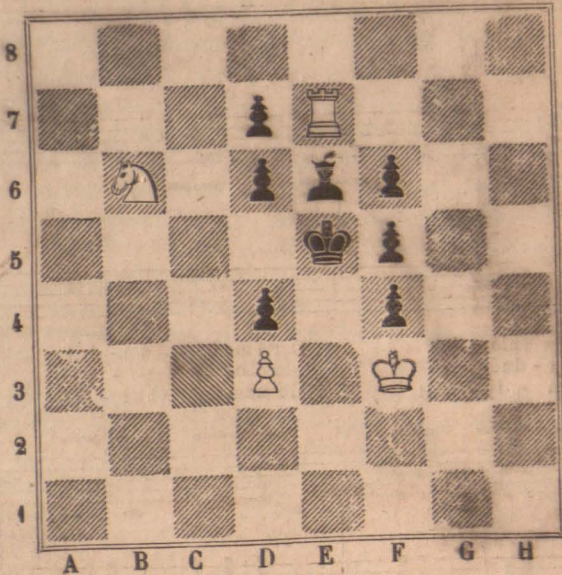
Szachy.

ZADANIE CCCLIII.

(B. W. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za 4-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 352.

Białe.

Czarne.

- | | |
|--------------------|-------------------|
| 1) E1 - C1 | 1) C3 - E4. |
| 2) G3 - B3 | 2) C4 - B3 biorą. |
| 3) C2 - C4+ i mat. | |

Gdyby czarne w 2-ém posunięciu pojechały jakkolwiek inaczej, białe matują: B3 - B7 lub E6 - C7.

- | | |
|-----------------------|-------------------------|
| 1) | 1) Koń A6 gdziekolwiek. |
| 2) G3 - G2+ | 2) C3 - E4. |
| 3) E6 - C7+ i mat. | |

- | | |
|--|----------------|
| 1) | 1) D4 - E5. |
| 2) C1 - D1+ | 2) Jakkolwiek. |
| 3) G3 - G2, lub H7 - F6 biorą + i mat. | |

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 396.

Pisma peryodyczno rozszerzają oświatę pomiędzy massami.

Rebus.



(Dodatek).

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Lwów w kwietniu.

Najnowszym pojawem literackim u nas jest dzieło profesora Małeckiego: *Życie i pisma Juliusza Słowackiego* w dwóch tomach. Obok żywota poety, w którym wiele szczegółów nieznanych dotąd znajdujemy, podaje autor rozbiór wszystkich pism jego, tak dawniej drukowanych, jakoteż i tych które sam Małecki wydał niedawno we Lwowie z pozostałych po Słowackim rękopisów. Profesor Małecki posiadał nader bogaty i ciekawy zasób materiałów do swjej pracy, albowiem uproszony przez rodzinę Słowackiego do wydania pozostałych po nim rękopisów, miał sobie zarazem udzielony zbiór listów pisanych przez znakomitego poetę, w przeciągu dwudziestoletniego pobytu jego zagranicą, do matki. W pufnych tych zwierzaniach syna pozostały zachowane wszystkie owe milionowe przejścia uczuciowe, owe marzenia i wrażenia, tęsknoty i zachęcenia, z których się jedynie matce spowiadała, a które odsłaniają najskrytszą głębię duszy poety. Materiał podobny, jest to nieoceniony skarb dla biografa i mało który z żywotopisarzów ludzi znakomitych był tak szczególnym, jak tym razem prof. Małecki, dostawszy do rąk tak dokładne źródło we własnych zwierzaniach Słowackiego. Po nitce tej korespondencji prowadzi nas autor krok za krokiem przez wszystkie koleje życia poety i tłumaczy pochodzenie dzieł jego. Widziemy tu ich pierwszy zawiązek, pod jakimi okolicznościami i w jaki sposób się rozdziły, jakie wpływy na nie działały, słowem cały rozwój owego poetyckiego talentu od pierwszych prób młodocianych, do ostatnich, pełnych mistycyzmu i zawilosci, mało zrozumiałych fantazji. Czytając listy Słowackiego, towarzyszymy mu nieodstępnie w całej jego dobrowolnej po świecie pielgrzymce. Przez lat kilka widzimy go marzącego w wiejskim domku nad brzegami jeziora geneńskiego, otoczonego troskliwością przywiązanej doń rodziny szwajcarskiej; to znów z pod gorącego nieba neapolitańskiego wrywającego się na Wschód, ażeby poznać cudowną nowość i odmiennoscia od europejskich form konwencyonalnych świat tamtejszy. Tam młody podróżny, przebiegłszy afrykańskie piaski, zwiędziwszy Jerozolimę, zamknięty przez kilka tygodni w klasztornej celi na Libanie, pisze *Ojca zadziwionych*, jeden z najpiękniejszych swych poematów. I tak aż do ostatniej chwili zgonu, opisaną wedle notat nieodstępnej przyjaciela, kręśli profesor Małecki żywot Słowackiego bardzo dokładnie, przeplatając opowiadanie swe wyjątkami z listów, objaśniającami zawarte w dziele spostrzeżenia i twierdzenia. Nasuwa się atoli pytanie, azali nie lepiej było zamiast uszczuplonych w ten sposób wyjątków z listów, ogłosić raczej cały zbiór korespondencji, a żywot poety wydać osobno. Jest to najwłaściwszy sposób przechowywania pozostałości po wielkich ludziach; każde tam słowo bywa zajmujące, a uronione szkoda jest dla czytelnika. Sam nawet profesor Małecki jest tego zdania, mówiąc o wydaniu listów Krasińskiego i surowo gromiąc wydawcę za ogłoszenie nie całych listów, lecz tylko wyjątków. Pomimo tego uznał za stosowne z korespondencji Słowackiego także tylko wyjątki podać do wiadomości publicznej. Być może iż miał słusność; nie znając całej treści wszystkich listów, trudno o tém orzekać. Może opuszczone ustępy zawierały ściśle poufne zwierzania lub sprawy osobiste, nie mogące zająć obszerniejszego koła publiczności i nie rzucające nowego światła na osobę poety.

Cokolwiekby to, co jest ogłoszone z listów Słowackiego, przedstawia dostatecznie poetę, wyświeca do głębi jego charakter, usposobienie i dążności, we wszystkich przejściach i epokach życia wielce od siebie odmiennych. Wyjątki z listów stanowią najciekawszą część książki. Obok tego, idąc równocześnie z kolejną wypadków, podaje profesor Małecki rozbiór pism Słowackiego, porządkiem jak były pisane, a przeplatając tym sposobem biografją krytyką dzieł, podchwytuje niejako tajemniczą genezę każdego utworu, wypatrzoną w samém źródle ducha poety. Pod obu względami dzieło profesora Małeckiego jest znakomite. Jako biograf opowiada on żywot Słowackiego w sposób bardzo powabny, obrazowo, skróśli dokładnie stosunki poety, pobudki kierujące jego postępowaniem, wyświeca psychicznie istotę charakteru i daje nam poznać zblizka

osobę ze wszystkimi jej wadami i zaletami, jak dotąd nie była jeszcze znana. Obok tego krytyka pism Słowackiego wiąże się z częścią biograficzną dzieła w zgodną całość. Obie te części wypełniają się wzajemnie. Tak gruntownego, wyczerpującego rozbioru dzieł Słowackiego nie było dotąd. Profesor Małecki jest wielkim znawcą w dziedzinie estetyki; sąd wydaje trzeźwy, ogólny i na ściśle umiętnych oparty podstawach. Można się tu lub owdzie nie ze wszystkiemi zgodzić z jego zdaniem, niemniej przeto wykazał właściwe stanowisko Słowackiego w literaturze i ocenił go w ogóle z wielką znajomością rzeczy. Przyznać należy, że dzieło p. Małeckiego nie przedstawia ani osoby, ani dzieł Słowackiego w tak przesadnie pochlebnym świetle, w jakim w ostatnich czasach zaczęto je u nas przez szkło młodzieńczej egzaltacji widzieć, zwłaszcza mistyczo-fantastyczne jego z ostatnich lat przed śmiercią poezje. Postać Słowackiego, po przeczytaniu dzieła Małeckiego, straci niewątpliwie na uroku, ale dzieło tém większą ma zasługę, że w gmatwaninę najróżnorodniejszych zdań i sądów, rzuca światło zdrowego, trzeźwego ocenienia i na właściwą sprowadza je drogę.

W poście rozrywką publiczności, naszej bywa muzyka. Jest to pora, w której towarzystwo muzyczne najbardziej bywa czynne. Urządza zwykle w tym czasie swe koncerty i wieczory muzyczne. Na ostatnim z tych wieczorów obsypano p. Mikulego, który grał utwory Chopina i swoje własne, snopami bukietów i wieńców. Powtarza to się coroku. Jest to poetyczny wyraz uwielbienia, jakim pewna część niewieściego świata tutejszego, mianowicie grono uczenia p. Mikulego z wysokich sfer towarzystwa, wyraża mu swoje wdzięczność. Zwykle więc na ostatnim wieczorze towarzystwa, (a był to właśnie ostatni w tym kursie zimowym) sklepy kwiatowe za ledwo nastarczyć mogą kwieciami, a piękne rączki obypują niem hojnie ulubionego mistrza. Mielśmy także koncert wokalny p. Niedzielskiego, młodego barytonisty, który po rozwiązaniu opery krakowskiej, przybył tutaj na występy gościnne. Koncert powiódł się obopólnie: publiczność zebrała się licznie, a śpiew koncertanta bardzo się podobał. Ale najważniejszym wypadkiem w świecie muzycznym jest powtarzające się od niejakiego czasu wielokrotnie w teatrze tutejszym przedstawienie *Halki* Moniuszki. Któżby się spodziewał, że przy tak szczupłych siłach jakie mamy tutaj do rozporządzenia, będziemy mogli przecież na scenie naszej obaczyć taką operę jak *Halka*, i to przedstawioną stosunkowo tak dobrze, jak sobie tylko życzyć i oczekiwać można było. Wdzięczność za to należy się niestrudzonej gorliwości p. Miłszewskiego. Umiał on trafnie skorzystać z sił, jakie w gronie tutejszem scenicznym się znalazły i uzupełnić je dobraniem dyletantów, tak że całość wypadła bardzo dobrze. Janusza i Jontka śpiewali pp. Koncewicz i Wojnowski, Ziembę i stolnika dwaj młodzi dyletanci, uczniowie towarzystwa muzycznego. Rola Janusza wypadła dość słabo; p. Koncewicz ma wprawdzie głos silny, wszelako w ogóle nie zdołał odpowiedzieć zadaniu, a grą swoją psuł wrażenie. Natomiast panna Kwiecińska w roli *Halki* zyskała zupełne zadowolenie publiczności, gdyż oprócz dobrego śpiewu, rozwinęła w grze, zwłaszcza w akcie czwartym, taką siłę dramatyczną, iż przewyższyła wszystkie oczekiwania i dowiodła że posiada talent rokujący jej piękną przyszłość na scenie. Najlepiej zaś poszły chóry, złożone z uczniów towarzystwa muzycznego. Chóry, można powiedzieć, nie pozostawiały nic do życzenia. Wystawa była, jak na naszą scenę, świetna, a tak przedstawienie *Halki* pozostanie pamiętnem w tegorocznym repertuarze teatru naszego.

Z powodu ogłoszenia nagrody konkursowej za napisanie sztuki dramatycznej i przyobiecanej tantiemy autorowi drugiej za najlepszą uznaną sztuki, wyraziście w Tygodniku Ilustrowanym zdziwienie, oraz niedowierzanie czy tak się dzieje istotnie. Azaliż macie nas za ludzi nieszanujących cudzej własności? Owszem, przestrzegamy praw autorskich i dajemy tantiemy, a jako korespondent miejscowy, mam sobie za obowiązek rzecz wyjaśnić, ażeby autorowie wasi wiedzieli na jak wielką mogą liczyć tantiemę, jeżeliby utwory swoje na naszej scenie przedstawiać chcieli. Wiadomość tę poprzedzić jednak muszę kilku słowy o dziejach honoraryów autorskich u nas i jaką drogą doszliśmy do tantiemy dzisiejszej.

Przed rokiem 1840 nie znano tutaj wcale hono-

rarium autorskiego. Pism peryodycznych nie było żadnych, oprócz *Gazety Lwowskiej* i wychodzących przy niej *Rozmaitości* pod redakcją Michalewicz, później Jana Nep. Kamińskiego. Gazeta i *Rozmaitości* zapełniały się przekładami, których obowiązyani byli dostarczać sami redaktorowie. Gazeta i *Rozmaitości* nie płaciły tedy nikomu żadnego honorarium, a tém mniej mogły to uczynić pojawiające się czasami dzieła zbiorowe, jak *Haliczanin* Walentego Chłędowskiego, *Ziemia* Bielowskiego i *Prace literackie* Józefa Dunina Borkowskiego. Pierwszemu honorarium autorskiem za pracę literacką we Lwowie, była sztuczka na kamizelkę dana ś. p. Wagilewiczowi za jakiś artykuł o modach, przez krawca Kulczyckiego, który w r. 1840 począł tutaj wydawać *Dziennik mód paryskich*; ale że biedny archeolog i historyk piszący o modach, nie miał za co swego honorarium, otrzymanego w materiale surowym, dać sobie sporządzić na rzeczywiście kamizelkę, przeto pozostała ona w stanie pierwotnym, jako pamiątka archeologiczna, którą ś. p. Wagilewicz zwykł był pokazywać swym znajomym. Inni autorowie, którzy się skupili podówczas około *Dziennika mód*, chcąc podnieść do wartości literackiej to jedyne pismo wówczas, jak obadwaj Borkowscy, Bielowski i inni, nie brali żadnego wynagrodzenia. Później, po kilku latach, płacił Kulczycki honorarya *Dzierzkowskiemu* za jego powieści, a *Bielowskiemu* za redakcją, w końcu zaś objął redakcją *Dziennika mód* Jan Dobrzański i pobierał tantiemę od liczby prenumeratorów. Od roku dopiero 1848 zmieniły się zupełnie stosunki autorskie, przy ożywionym ruchu dziennikarstwa.

W takim stanie rzeczy oczywiście że i teatr żadnych nie płacił honoraryów autorom i nie dawał tantiemy. Do roku 1852, w którym to czasie ś. p. Stanisław Skarbek nowy swój teatr otworzył, prowadziło dyrekcją sceny w starym teatrze na wspólny rachunek towarzystwo artystów, wyszłych jeszcze ze szkoły Jana Nep. Kamińskiego. Józef Korzeniowski, spokrewniony przez żonę z tutejszym artystą dramatycznym Antonim Benzą, przysyłał dla sceny tutejszej wszystkie swe arcydzieła dramatyczne, a nawet, będąc w ściślejszych stosunkach i w ciągłej korespondencji z Benzą, niektóre z dzieł swoich pisał umyślnie dla sceny lwowskiej, z uwzględnieniem jej stosunków i właściwości. Najznakomitsze tedy dramaty Korzeniowskiego były najprzód na scenie tutejszej przedstawiane, a nawet przez wiele lat jedyne tylko na niej. Korzeniowski nie brał za nie żadnego honorarium. Jako jedyne wynagrodzenie, żądał tylko dokładnych doniesień o wrażeniu jakie sztuki jego na publiczności tutejszej czyniły i posyłania mu recenzji o nich, jeżeli się jakie w pismach miejscowych pojawiły. Nie brał też żadnych honoraryów *Fredro* za swe komedye, które także umyślnie dla sceny tutejszej pisał. O innych autorach niema co i mówić, bo ich nie było, a jeśli byli, nie zasługiwali na wzmiankę, ani też mogli rościć sobie prawa do honoraryów, nieznanych podówczas w dziejach teatru tutejszego.

Dopiero ś. p. Stanisław Skarbek, otworzywszy nowy teatr, ogłosił że będzie płacił honorarya, a mianowicie za przekład 20 guldenów, czyli 80 złotych polskich, a za sztukę oryginalną dwa razy tyle, t. j. 160 złp. Pod tę miarę wszystko w czamból podgarnięto, nie zważając na wewnętrzną wartość sztuki lub imię jej autora. Komedia *Fredry* czy *Korzeniowskiego*, dramat *Magnuszewskiego*, czy pierwszy lepszy dyalogowany elaborat studencki, byle mógł być wprowadzony na scenę, chociażby upadł od pierwszego razu, płacono po 160 złp., za którą to cenę sztuka stawała się już nazawsze własnością dyrekcji i mogła być przedstawiana ile razy się jej podobało. Wiele odzywało się głosów i uzaleń na tak niską stopę wynagrodzenia pracy autorskiej; wszelako administracja teatru była głuchą na te skargi i stopa honoraryów pozostała przez wiele lat niezmienną. Gdy dyrekcją teatru objęli w r. 1858 dawni artyści *Nowakowski* i *Smochowski*, uznali za stosowniejsze płacić autorom nie stałe honorarium, ale tantiemę. Widoki jednak autorskie nie polepszyły się przez to bynajmniej, już dla tego samego, że dyrektorowie nie starali się o sztuki nowe, uważając za korzystniejsze dla siebie obracać się w kółku dotychczasowego repertuaru i wznowiać zapomniane sztuki z czasów dawniejszych. Tantiemą płacono przez dyrekcją pomienioną wynosiła

5 procent od czystego dochodu za sztukę zapełniającą całe przedstawienie. Jeżeli więc sztuka była jedno lub dwuaktowa i nie zapełniła wieczoru, autor otrzymywał stosunkowo mniejszą tantiemę, która, jeżeli jeszcze teatr nie był pełny, po skrupulatnym odliczeniu łóz i krzeseł abonowanych, tudzież udzielonych autorowi biletów wstępu, równała się wartości owój Wagilewiczowskiej sztuczki na kamizelkę. Po podobnym smutnym doświadczeniu uczynionym przez kilku młodych pisarzy tutejszych, oczywiście obietnica tantiemy nie mogła być wielką zachętą do pisania dla sceny. Teraźniejszy dyrektor teatru polskiego p. Miłaszewski, podniósł wysokość tantiemy w dwójnasób i płaci 10 procent od czystego dochodu za pierwsze przedstawienie. Wysokość tantiemy za przedstawienia następne zależy od ugody z autorem. A że teatr tutejszy, jeżeli jest pełny, przynosi 3,000 złp. dochodu z jednego wieczora, przeto autor przedstawiający tutaj swą sztukę, może mieć za pierwsze przedstawienie 300 złp.; ale teatr musi być zapełniony, jak to mówią, po brzegi, ażeby kwota przypadająca dla autora tantiemy do tej wysokości doszła. Licząc do tego, że jeżeli sztuka jest dobra, jeżeli podoba się, to będzie mogła być częściej powtarzana, autor zawsze wynagrodzenie odpowiednie otrzyma, lubo nie mówię aby ono miało być sowite. Ażeby pomysł i praca autorska była jako tako wynagrodzona, należałoby oznaczyć z pierwszego przedstawienia połowę czystego dochodu jako tantiemę, a z następnych po 10 procent. Wszelako stosunki teatru naszego nie pozwalają myśleć o czemś podobnym, a p. Miłaszewskiemu należy się uznanie za to, że oceniając lepiej niż jego poprzednicy wartość pracy autorskiej, tantiemę w dwójnasób podwyższył i w każdym razie takową akuratnie wypłaca. Tak się rzecz ma u nas z wynagrodzeniem autorów dramatycznych.

Gmina tutejsza wysłała kosztem swoim do Paryża, celem zwiedzenia i opisanie wystawy, pp. profesorów Ginsberga i Maszkowskiego, tudzież stolarza Szulca. Oprócz tego udzieliła stypendium p. Skrochowskiemu, przebywającemu na naukach w Paryżu, uczniowi akademii dróg i mostów, z poleceniem sprowadzenia z wystawy, tudzież przedłożenia opisu najnowszych systemów kanalizacyi miast i innych sposobów desynkcezy, z zastosowaniem do położenia i stosunków naszego miasta. Przeważało zatem, jak widziemy, zdanie, aby wysłać na wystawę kosztem miasta przeważnie ludzi nauki, techników umiętnie wykształconych, a nie rzemieślników, jak to podczas przeszłych wystaw londyńskiej i paryskiej uczyniono. Wysłani wówczas rzemieślnicy, niemający dostatecznego przygotowawczego wykształcenia naukowego, niewiele też korzystali ze zwiedzenia wystawy. P. Ginsberg jest profesorem chemii przy tutejszej akademii technicznej i oddaje się gorliwie swemu zawodowi. Oprócz wykładów obowiązkowych, mięwa on także od lat kilku nadzwyczajne odczyty popularne w akademii technicznej i wydaje pismo gospodarsko-technologiczne. P. Maszkowski jest profesorem budownictwa w Dublinach, a przedtem był profesorem tutejszej szkoły realnej; człowiek to młody, wielkich zdolności. Oprócz tego wysłała także wydział krajowy, na mocy uchwały sejmowej, dwóch techników dla zwiedzenia wystawy. Wybór padł na profesorów akademii technicznej: Strzeleckiego, profesora fizyki i Żmurkę, profesora matematyki. Trudno było lepszy uczynić wybór. Ludzie specyjalni, w rozmaitych gałęziach techniki wykształceni, zdołają zbadać wystawę wszechstronnie, porównawczo i niejednym nowym pomysłem tam powziętym przysłużyć się krajowi.

ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Waleryi Morzkowskiej.

(Dalszy ciąg.)

LIST I.

Edward do Albiny.

Czas i przestrzeń stanęły pomiędzy nami, siostrzo moja, ale nie zdołały zerwać nici serdecznej, która wszędzie i zawsze, od kolébki samej, jednoczyć nas nie przestaje. Ja potrzebuję w to wierzyć, bo ina-

czej zamilkłaby najczystsza struna mego ducha, najjaśniejsza gwiazda zgasłaby na mojem niebie. Od najpięćdziesiątych lat, Albino, byłeś dla mnie opiekuńczą istotą, od dzieciństwa przywykłem czytać w twoich wielkich, smutnych, przenikliwych oczach tajemnice własnego ducha. Potrafiłeś wzbudzić we mnie nieokreślone uczucie, które zmusza moje serce otwierać się i spowiadać przed tobą, przed tobą jedną na świecie. Mimowolnie myśl moja zwraca się ku tobie; przywykłem badać siebie wobec twego wysokiego ducha, nie kryć ran, nie kryć upadków nawet jakie przynosi mi walka życia i w twojem gorącym sercu szukać ulgi, współczucia. Jak potrafiłeś dokazać tego cudu, bym ja, dumny, samowolny, namiętny, zdobył się w obec ciebie na pokorę wyznania? Nie wiem sam, ale mi błogo kiedy mogę myśl moją utulić pod skrzydła twój pogodnej myśli i wzburzonego ducha obnażyć przed twym jasnym duchem; bo wiem że każda boleść moja jest tobie boleścią, że umiesz weselić się mojem szczęściem, radować nadzieją i kochać to co ja kocham.

Los postawił nas zdaleka jedno od drugiego. Doznałaś burz życia, siostrzo moja, kochałaś i cierpiałaś wytrwale, pozostałaś wierną samej sobie i we własnym sercu znalazłaś rozwiązanie sfinksowej zagadki życia. Duch twój zahartował się w walce, pozostał silnym i młodym, pojmuje wszystko co równe mu miarą, a jeśli nie miarą, to wolą i chęcią. Dlatego myśl moja ulata do ciebie gdzieś za dalekie morza, do Nowego świata, gdzie poszłaś za ukochanym, i oczekuje wzajem bratniej myśli twojej, jak rosy ożywczej.

Ostatni list twój doszedł mnie właśnie w chwili wyjazdu z Paryża; teraz piszę do ciebie z kraju, dokąd powróciłem, nagłony listami brata. Piszę do ciebie z domu jego, z tej okolicy pęsnęcej, którą znasz tak dobrze, zgubionej w głębi lasów, wśród których odzywają się tylko zdaleka ciężkie młoty fabryczne, szumią wody puszczane na olbrzymie koła, wiją się w górę ciężkie dymy. Jestem znowu w tym domu, gdzieśmy spędzili dziecinne lata. Czy ty pamiętasz to wszystko, Albino? czy i tobie wspomnienia ozłociły ponure lasy i karłowate góry czarem wiośniowym? Czy pamiętasz ten wodospad małej rzeczki, który zachwyconym oczom naszym wydawał się czemś naksztalt Niagary, tę skałę na którą wdrapałem się raz z takim trudem, niby na jaki niedostępny alpejski wierzchołek? Jakżeż to wszystko drobne, nikczemne, jak inne pozostało w myśli mojej! Teraz doświadczyłem po raz pierwszy, że ze wspomnieniami ostrożnie spotykać się należy.

Przybyłem tutaj z bijącym sercem, obiegałem jak szalony wszystkie znane mi zakątki i ścieżki, chciałem witać ludzi i martwe przedmioty; ale nie znalazłem nic z tego com szukał. Ludzie zeszaryli się, zmienili, zapomnieli o mnie, natura zmalała i zbrzydła mi w oczach. Wszystko w około mnie zmieniło kształt i barwę. Czyż i dalej tak będzie w życiu? czy wszystko co ukochałem blednąć mi będzie w oczach, aż dotknę różnicy marzeń z rzeczywistością, aż świat cały wyda mi się czczy i nędzny?

Ale nie, tak być nie może. Kraina zachwyty stoi i stać zawsze będzie otworem przedemną, kraina serca, ducha, kraina piękna i dźwięku. A jeśli kiedy, tak jak tutaj, poznam złudzenia przeszłości, żałować ich nie będę. Znak to będzie że czas nie upłynął dla mnie bezkorzystnie, gdy pogląd mój się zmienił, że w myśli mojej zostały fałszywe obrazy, któremi ludziła się pamięć. Ja nienawidzę złudzenia. Czyż rzeczywistości braknie piękna i życia, by szukać go aż w urojonym świecie? Mnie wystarczy to co jest, nie potrzebuję zapożyczać się u fałszu, nie chcę zasłaniać sobie oczów przed prawdą, bo to słabość i karłactwo ducha, a gdybym je kiedykolwiek popełnił, wstydzilibym się samego siebie, a ciebie więcej jeszcze.

Nie same martwe przedmioty powitały mnie zmienioną twarzą; zawód mój nie skończył się na obojętnych. Spotkałem go w tém nawet, co po tobie, Albino, obchodzi mnie najmocniej. Brat mój Jan odmienił się także. Od lat kilku rzadko widywaliśmy się z sobą, listy nasze były krótkie, a drogi życia, dawniej równoległe prawie biegnące, teraz rozchodzą się i coraz bardziej rozchodzą się szłą koniecznie.

Pocziwy, zacyjny, szlachetny Jan! Cóżem ja winien, że powoli stanęliśmy na dwóch przeciwnych biegunach myśli? Kocham go, cenię, ale naśladować nie mogę. Na jego miejscu umarłbym lub oszalał; a jednak, spojrzawszy na niego, sądzić można iż widzi się najszczęśliwszego z ludzi. Życie jego składa się z nieprzerwanego ciągu zajęć. Godziny i dnie obliczone są z matematyczną ścisłością, nie zostawiono z nich ani jednej chwili na *dolce far niente*. On może i przestał rozumieć znaczenie tego wyrazu; choruje na pracę, jak na rodzaj monomanii. Mnie przynajmniej stan podobny wydaje się anormalny. Ale rzecz dziwna, charakter jego, dawniej pęsnę i smutny, rozpozgodził się pod wpływem tego życia, które byłoby śmiercią moją. On sam wyszukuje i stwarza sobie obowiązki.

Mając lat dwadzieścia dwa zaledwie, ożenił się z panną ni piękną ni bogatą, czemu? to wielkie pytanie, na które odpowiedź leży tylko w tém słowie: obowiązek. On pragnął mieć obowiązki, ognisko domowe, rodzinę. Czy kochał? nie wiem, ale wątpię by Jan kiedykolwiek w życiu miał czas na miłość, by rozumiał, lub chciał rozumieć, te czary, zachwyty i wrzenia, te namiętne serca bicia, które przetrwarzają człowieka w pół-boga, a świat ten w rajska krainę. Nie, on tego pewno nie doznał ani razu, chociaż dzisiaj kocha żonę swoją jak kochać powinien i dlatego że powinien, i pewno kochać będzie wiernie aż do śmierci, tak jak przysięgł że uczyni. Ludzie podobni za przyszłość ręczyć mogą, ona do nich należy, bo są zimni jak metal i jak on niezmienni.

Żona obdarzyła go w przeciągu lat kilku pół tuzinem dzieci; więcej ci o nię nic powiedzieć nie mogę. Zresztą widziałas ją raz i zapewne poznałaś dokładnie. Sądzę że jest wzorową gospodynią, żoną i matką, bo od rana do nocy znosi krzyki i hałasy dzieci, od których dom się trzęsie, pękają głowy, z uśmiechem zachwyty i rozkoszy, jakby to był najwyższy szczybel szczęśliwości ludzkiej. Sądzę że i ona spełnia z sumiennnością maszynki wydzieloną sobie część pracy i obowiązków, że potrafiła wcielić w siebie ideał mego brata, bo nigdy nie zdarzyło mi się dostrzedz chmury na pogodnym horyzoncie ich pożycia.

Jednakże, pomimo sprzeczności poglądów, życia i pojęć, nie serdeczna nie zerwała się pomiędzy mną a Janem; tylko zawsze porozumieć nam się jest trudno, wywnętrzyć niepodobna.

Wczoraj wieczorem, gdy wszystko uspokoiło się w domu, gdy kobiety i dzieci udały się na spoczynek, zostaliśmy sami z Janem. Wówczas brat mój począł mówić o stanie majątku mego, którego zarząd właśnie miałem odbierać na siebie, przedstawiał mi plany ulepszeń zaczętych, usiłując zająć mnie niemi.

Słuchałem przez pół, nie chcąc go martwić obojętnością moją; bo i na cóż zdałby mi się majątek tak wielki, gdybym miał być jak Jan niewolnikiem jego i zajmować się rzeczami które mnie nudzą?

— Wiem, rzekłem w końcu, przerywając nieskończone nomenklatury jego, wiem że twojej pracy winien jestem zupełną niezależnością majątkową, że w twoich rękach mienie moje pomnożyło się w dwójnasób. Nie będę ci za to próżno dziękował, Janie, bo wiesz że to samo uczyniłbym dla ciebie, gdyby to było w mocy mojej.

— Gdyby to było w twojej mocy, powtórzył brat z lekkim wyrzutem w głosie; ja nigdy nie powątpiewałem o sercu twojem.

— Ale o głowie, wtrąciłem z uśmiechem.

— I o tej nie, odrzekł Jan poważnie, masz umysł bystry i pojętny. A jednak...

I nie dokończył zaczętej myśli.

— A jednak... Janie, pochwyliłem, powiedz mi raz to co masz na sercu, a może wówczas porozumiemy się lepiej.

Uścisnęliśmy się, a Jan rzekł po chwili:

— Skończyłeś już lat dwadzieścia cztery, Edwardzie.

Widziałem z tonu, że się zabięra powiedzieć mi ogromne kazanie, i miałem wielką ochotę je przetrwać. Ale nie chcąc robić tej przykrości dobremu Janowi, przygryzłem sobie wargi w milczeniu, zapaliłem cygaro i słuchałem z cierpliwością godną lepszego losu.

— Prawnie, mówił dalej brat mój, opieka moja skończyła się od lat kilku, i gdyby prawne tylko

łączyły nas stosunki, gdybym z serca, tak jak i ze krwi, nie był ci bratem, sądziłbym że mogę poprze- stać na tém com uczynił, że spełniłem sumiennie o- bowiązki moje. A jednak ja o ciebie spokojny nie je- stem. Życie otwiera się przed tobą, wszystko zdaje ci się wróżyć szczęście, ale przyszłość jest w twojem ręku. Co myślisz z nią uczynić?

Co? pytanie to spadło na mnie niespodzianie. Mogłem wprawdzie dać na nie wiele odpowiedzi, ale może ani jednej takiej, któraby zadowolili brata mego.

— Mój drogi, odparłem po chwili, dotąd żyłem i byłem szczęśliwy, bez troski o jutro; dlaczegoż- bym tak nadal pozostać nie miał?

— Bo tak być nie powinno, Edwardzie, bo życie to motyle znudzi cię, przesyca.

— Pozwól mi przynajmniej, wyrzekłem, pocze- kać aż to nastąpi. Dotąd nie znam co to jest nuda i przesyt.

Widziałem wyraźne zdziwienie na twarzy Jana. Nie mógł powątpiewać o szczerości mojej, ale kra- somówstwo jego było wytracone z kolei, argumenta traciły podstawę na której wspierać się miały. Wi- działem w spojrzeniu jego zatopionem we mnie, że starał się zrozumieć naturę tak różną od swojej, trapiącą go jak zagadka. Chciałem mu przyjść w pomoc, ale najtrudniejsze to podobno zadanie, objaśnić człowiekowi drugiego człowieka. Szukałem więc porównania, coby uwydatniło różnicę zachodzącą pomiędzy nami, i trafiłem na porównanie muzyczne, dla mnie bardzo jasne i zrozumiałe, ale które wcale nie rozjaśniło kwestyi w oczach Jana.

— Każdy człowiek, wyrzekłem, ma swój właści- wy kamerton, jako ideał do którego nastrajać się powinien; każdy ma swój dźwięk właściwy i musi w nim pozostać, pod karą dysharmonii.

Ale Jan lękał się tej metafizyki muzycznej.

— Czyli, pochwylił, innemi słowy, każdy ma pewne posłannictwo przed sobą, obowiązki do speł- nienia. Jakież są twoje zamiary? co zamysłasz przedsięwziąć. Masz nadto energii, rozumu i ser- ca, by wieść próżniacze, beużyteczne życie i stać się tym samym pasożytem społeczeństwa.

Uśmiechnąłem się mimowolnie z tych wielkich frazesów, które do mnie nie stosowały się zupełnie. Są ludzie, którym się zdaje że trafili na jedyną prawdziwą drogę życia, którzy sądzą naiwnie, że po za ich wiarą niema już szczęścia ni zbawienia, i chcieliby gwałtem, jak fanatycy inkwizycyi, po- pchnąć świat cały w swoją kolęję.

— Ja mam wcale inne pojęcia, odparłem, a chociaż nie myślę osiadać na wsi i gospodarować, sądzę że jeszcze zgubionym nie jestem i nie za- sługuję na nazwę pasożyta, którą obdarzyłeś mnie tak łaskawie. Każdy krok w życiu czynem być może, każda chwila oddana myśli, nie jest zmar- nowaną. Ja czuję że nie wiążąc się żadną for- mułą, mogę być użytecznym, dobrym i szczęśli- wym.

Brat mój zamyślił się głęboko; miał dobrą wolę zrozumienia mnie, ale myśl jego tak przywykła do pewnej rutyny, że z trudnością mu to przy- chodziło.

— Więc na jakiej podwalinie, zapytał znowu, myślisz przyszłość swoją budować?

— Na dziś nie myślę o przyszłości, ona sama z siebie stworzy się i wyrobi. Ja nie zniósłbym żadnych krepujących więzów i czuję że gdyby dzia- siaj przyszłość moja z góry postanowioną była, wal- czyłbym z nią jak z przeszkodą, chociażby jaśniała wszystkiem czego pragnąć można. Na dzisiaj tera- źniejszość mi wystarcza. Dzień każdy życia przy- nosi mi nowe pojęcia, nowe uczucia, nowe rozkosze, dzień każdy jest mi błogosławieństwem.

— Ale powiedz mi przynajmniej, co ty lubisz, czego pragniesz? bo dotąd, patrząc na ciebie, nie mogę nawet odgadnąć upodobań twoich, pytał Jan zakłopotany.

— Co ja lubię? powtórzyłem z uśmiechem; tysią- ce rzeczy, i to właśnie stanowi mój zasób szczęścia. Lubię uganiać się konno za dzikim zwierzem, pędzić lokomotywą przez ogromne przestrzenie, pruć szyb- ką łodzią morskie fale. Lubię zamknąć się w ci- chój pracowni i badać zawile zagadnienia nauki. Lu- bię położyć się w dzień słoneczny na mchach le- śnych i słuchać, choćby i dzień cały, śpiewu ptaków, brzęczenia owadów, lub pośród cichój nocy ująć

za skrzypce i wygrać wszystkie dźwięki ducha, któ- rych słowa oddać nie potrafią. Lubię szał świata i lubię ciszę; lubię śmiać się i lubię zadumać. Spo- wiadam ci się otwarcie, a teraz powiedz sam Janie, czy z podobnych danych potrafisz wysnuć przyszłość moję?

— Nie wszystko jeszcze powiedziałeś, Edwardzie, odparł uśmiechając się. Ty lubisz kochać także.

— Kochać, powtórzyłem, to konieczne dopełnie- nie bytu. Ja nie pojmuję życia bez miłości.

— Edwardzie, przerwał Jan nawpół litośnie, porozumiejmy się wprzód co do znaczenia wyrazów. Co ty nazywasz miłością?

— To, gdy serce moje silniej uderza, gdy roz- szerza się mój horyzont myśli i wznosi poziom mor- alny, gdy świat cały przetwarza mi się w oczach, a szczęście zdwaja i zależy od drugiej istoty.

— A wieleż razy tak kochałeś, wiele razy tak ko- chać będziesz? pytał Jan, sądząc że zakłopotze mnie tém pytaniem.

— Ja nie wiem sam, odparłem spokojnie. Miłość, to rzecz nieujęta, jak woń kwiatu; ona nie zależy odemnie. Kochałem zawsze bez fałszu i zdrady, nie zawiodłem cudzego serca, nie obiecywałem czegom nie mógł dotrzymać. Przebaczałem gdy mnie ra- niono, a nie raniłem nawzajem, i wiem że dalej tak samo postępować będę. Z kobietą którą kocham, rozejść się mogę jutro, lub być jej wiernym życie całe; za jedno i za drugie odpowiadać nie mogę. Wiem to tylko, że nigdy nie popełnię kłamstwa ani podłości.

— O tém wiem także, Edwardzie, ale na tej dro- dze spotkać możesz cierpienie.

— I cóż ztąd, wyrzekłem, czy sądzisz że mi zbra- knie siły i męztwa, że nie potrafię waleczyć i zwycię- żyć, lub przecierpieć? Nie jestem dzieckiem, znam świat i ludzi, nie powiesz mi nie czegobym nie wie- dział, a żadne słowo twoje mnie nie nawróci. O- strzegłeś mnie... bądź spokojny, spełniłeś obowiązek starszego brata. Ja ważę się na dolę lub niedolę życia.

Jan słuchał mnie uważnie, z podpartą głową, z o- kiem utkwionem we mnie. Jakiś cień smutku, za- dumy niezwyčajnej wyszlachetnił jego energiczne rysy.

— Edwardzie, rzekł, tu rozchodzą się pojęcia i myśli nasze. Niechaj serca przynajmniej pozosta- ną złączone. Wiara twoja nie jest moją wiarą, dro- ga którą puszczasz się niebacznie jest stroma i nie- bezpieczna. Nie w mojej jest mocy cię przekonać i nawrócić; pamiętaj tylko, jeśli przyszłość zawie- dzie marzenia, że jakąbądź koleją pójdzie życie two- je, tutaj zawsze zarówno kochanym będziesz.

Rozeszliśmy się z bratem pojednani. Czuję się silniejszy na przyszłość o jedno serce ludzkie, bo wiem że u Jana niema słów próżnych. Długo w no- cy siedziałem, ja samotny marzyciel, rwący się do burz życia, pośród tego uspiętego domu, który zbu- dzi się z jutrzejszym świtem, na nowy dzień cichój pracy. Słodko mi było oddychać rzeźwiącém lasów powietrzem, spoglądać na ten zamknięty horyzont i marzyć o tej przyszłości nieznannej, niestworzonej jeszcze, do której instynktowem pragnieniem wycią- gam namiętnie ramiona.

Za kilka dni ztąd wyjeżdżam; proszono mnie na wielkie polowanie, gdzieś u podnóża Tatrów. Opi- sze ci te dzikie krajobrazy, niedotknięte jeszcze ręką cywilizacyi, nierzucone na pastwę mody i znużo- nych turystów. A może ztamtąd, pomimo wszystko, pospieszę do ciebie i zobaczę zarazem ten świat no- wy, który tak daleko wyprzedził starą Europę na drodze postępu.

Tak dawno nie widziałem ciebie, że potrzebuję zo- baczyć znowu twe jasne, szlachetne oblicze, potrze- buję dotknąć twojej ręki, by uzbroić się nanowo przeciwko pokusom i upadkom.

LIST II.

Edward do Albiny.

Kto wie kiedy zobaczymy się z sobą, Albino; los dziwnie rządzi ludźmi. Ja pozostaję tutaj, oplata- ny czarem, zachwytem, pozostaję tu wśród dzikiej okolicy, wśród nawpół dzikich ludzi, bo mi tu do- brze i błogo. Czyż potrzebuję ci pisać, że ten prze- wrót zamiarów moich sprawiła kobieta? Znasz mnie dość by domyślać się tego; ale czy uwierzysz że je-

dno spojrzenie wystarczyło bym zatracił samego sie- bie i przykuło mnie tu niewolnikiem prawie? Wiész że nie pojmuję walki z własnym uczuciem, że nie nastrajam się sztucznie do jakiejś urojonej miary, nie bronie swobody myśli, ale z prostotą dziecka poddaję się wrażeniom chwili i bez wahania rzu- cam odważnie przyszłość i szczęście całe na kartę drugiego serca, gotów przyjąć zarówno rozkosz i cierpienie. Zawsze jednak wiedziałem co czynię, zostawała mi ta chwila rozwagi, w której uczułem jej całą ważność. Teraz podbity zostałem, zanim spostrzegłem że przestałem do siebie należeć, że dwie źrenice jasne, łzawe, błyszczące wpiły mi się w pa- mięć niepowrotnie i jak dwie gwiazdy świecą w my- śli mojej.

Zebrałiśmy się dość licznie na polowanie u Henry- ka. Majątek jego leży w ślicznem położeniu: w ko- ło góry porośłe odwiecznymi borami, nagie skały i strome wąwozy, a w oddali rysuje się mglisto po- nury, groźny łańcuch Tatrów.

Okolica była mi nieznaną; wczoraj wymknąłem się od towarzyszy, kazałem osiodłać sobie konia i puściłem się sam jeden, na los szczęścia, gdzie mnie oczy poniosą. Los usłużył mi widocznie, bo po kil- kogodzinnem błądzeniu bez celu, wśród gór i wąwo- zów, trafiłem na wspaniałe ruiny tenczyńskiego zam- ku. Ruiny te są jedne z najpiękniejszych jakie kraj ten posiada: wielki czworobok, otaczający główny dziedziniec, stoi jeszcze nietknięty prawie ręką czasu; tylko gdzieniegdzie dalsze baszty, rozsypane w gruzy, sterczą wśród porastających brzoź i świerków. Zeskoczyłem z konia i uwiązawszy go u drzewa, wszedłem przez sklepioną bramę do labiryntu kom- nat, porośłych murawą i głogiem, do opustosza- łych dziedzińców i krużganków oplecionych dzikim chmielem.

Przypatrywałem się resztkom rzeźb, śladom fres- ków, których dotąd jeszcze śniegi i dęszce zupeł- nie splukać nie mogły, przejęty nieokreślonym u- czuciem smutku, jakie wzbudza każda ruina, — gdy nagle zatrzymałem się, uderzony niespodzie- wanym widokiem. Nie byłem sam w tym zamku. O kroków kilka odemnie, w oknie spustoszałej wieży, stała jakaś biała istota, duch czy anioł, bo zaledwie śmiałem nazwać ją kobietą.

Spojrząwszy na nią, pierwsze wrażenie omija- ło zmysły, niepojętym fenomenem obejmowało wprzód jej ducha niż ciało; i widziałem że nawet pojęcie złego nie skaziło czystości jej białego czoła, widziałem że cień fałszu nie powstał nigdy na jej ustach, że była jasną jak samo światło, prze- zroczystą jak lza, zanim dostrzegłem że była pię- kną, ahl piękną, jak może i niewolno być ludzkiej istocie. Piękność ta służyła tylko za osłonę ducha, od niego pożyczala promieni i blasku. Oczy jej szafirowe, miały kryształową głębokość południo- wego nieba; można w nich było utonąć myślą całą i jak przez kopułę niebios, dojrzyć w nich Boga. Światło migotało w nich dwiema gwiazdami i zda- wało się rozlęwać w całym promieniu jej wejrzenia. Tylko wejrzenie to odwracało się od ziemi i wznosi- ło do góry, z nieujętym wyrazem jakby tęsknoty za rajem utraconym. Twarz jej biała, z szerokiem czołem, ze śnieżnymi skroniami, oblana słońcem, rumieniła się zaledwie bladą barwą alpejskiej róży; usta małe, wykrojone jak listek róży, miały wyraz niewinności dziecięcej, jakby dotąd przechodziła przez życie nieświadoma złego, nieskałana nawet pyłem ziemskim, nie doznawszy nigdy powszedniej troski; bo usta jej uśmiechały się pogodnie, tajemniczo, jak usta niemowlęcia w pierwszych snach kołyski do niewidzialnych aniołków. A jednak był nieujęty smutek na jej twarzy; jak gdyby nie znając grze- chu ni pokusy, zaznała przecież cierpienie. Postać jej cała smukła, strzelista, zdawała się unosić wgó- rę, jak gdyby własnym ciężarem nachylała się ku niebu, i tylko jej ramionom brakło skrzydeł dwoj- ga i srebrnych piór anielskich, i tylko temu czolu aureoli, by ludzie ukłękli przed nią, zapatrzeni, za- modleni.

Czy pamiętasz dobrze cudne głowy Fra Angeli- ca? Twarz jej była piękną jak one, a jej szczupła kibić, w długiej białej sukni, trochę wężką, trochę wąską w ramionach, przypominała najczystsze ut- wory zachwyconych *trecentistów*.

Włosy jej ciemno-blond, ni złote, ni czarne, ni kasztanowate, gładko zaczesane, obejmowały szero-

kie czoło i spadały na plecy niedbale w dwóch grubych warkoczach, lśniące, miękkie i ciężkie.

Głowa jej była trochę w tył przechylona, wspierała ją na złożonych rękach i tak stała, objęta niby ramą, rzeźbioną futryną wypadłego okna, rysując się światła na błękitnym tle horyzontu.

Ja stałem ukryty w cieniu za filarem krużganku, olśniony jej widokiem, jakby zjawiskiem cudownym, lękając się poruszyć, odetchnąć, by go nie spłoszyć, pytając samego siebie, czy rzeczywiście to była istota z krwi i ciała, istota mnie równa, kobieta. I myśl moja przylgnęła do niej, zawisła z nią wśród błękitów i stała się czystą, powietrzną jak ona.

Tymczasem odgłos zbliżających się kroków i szelest jedwabnej sukni zbudził mnie z tego zachwyty, w którym mogłem pozostać dzień cały. Kobieta niemłoda już, w wykwintnym stroju, ukazała się naprzeciwko mnie.

— Idalio! Idalio! wołała po francuzku, oglądając się na wszystkie strony z pewnym niepokojem.

— Chwilkę jeszcze, kochana pani, odezwał się dzwiczny głos z góry. Tutaj tak ślicznie, tak rozkosznie!

Kobieta podniosła głowę i ujrzała dziewczynę zawieszoną w oknie stariej baszty, jak ptaka na gałęzi.

— Na miłość boską, zawołała z przestrachem, ty spadniesz jeszcze.

— Nie lękaj się pani, odparła Idalia, niechętnie opuszczając miejsce swoje i zstępując z wolna po wschodach w górę zawałonych.

Chód jej był równy, falisty, zdawała się spływać ku nam z góry, chociaż stapała po gruzach i rumowiskach; kibić jej szczupła, gibka, czarnym paskiem objęta, chwiała się od powiewu wiatru; długa, biała, muszlinowa suknia wlokła się niedbale po zielskach i kamieniach, osypując czasem gruzy za sobą, gdy szła z wolna, zamyślona, poważna, jakby nie pomna że stapa po ziemi.

— O Boże, Idalio, mówiła starsza kobieta, jak możesz po takim słońcu chodzić z gołą głową? Opalisz się, zachorujesz.

I podniosła jej wielki ryżowy kapelusz, opasany czarną aksamitką, leżący na ziemi.

— Zapomniałam o nim, odrzekła Idalia z niedbałym uśmiechem.

Rozejrzała się w około, wsparła o filar krużganku i znowu utonęła w jakiejś tajemniczej zadumie.

Kobieta spojrzała na nią.

— O czém myślisz? spytała. Ja ręczę że teraz wywołujesz myślą przeszłość tego zamku.

— To prawda, odrzekła dziewczyna, niby w odpowiedzi, niby sama do siebie, ja lubię uciekać w przeszłość, gdy teraźniejszość jest smutna. Wyobraźnia przenosi mnie w dawne czasy, maluje mi tęcze obrazy, gdy zamek ten stał w całej wspaniałości swojej, gdy tysiące dworzan strojnych i zbrojnych snuło się po tych dziedzińcach, dziewice przechadzały się po tych krużgankach; wszędzie ludno było, rojno, wesoło, a może właśnie tu w tym miejscu młody Jan Tenczyński siadał na tureckiego konia i może tutaj zegnał swój zamek, kiedy puszczał się w drogę za dalekie morza po królewską oblubienicę. Wyjeżdżał dumny, szczęśliwy, ufny w przyszłość, kochający, kochany; nie przewidując że zima śmierć czyha na niego, w chwili gdy stanął u szczytu marzeń. I nie ujrzał już nigdy swjej pięknej królowej. Ród jego wygasł, zamek rozsypał się w gruzy i dziś tutaj, zamiast dziewic, giermków, rycerzy, stoją tylko chwasty i tarniny, zamiast brzmiającej muzyki biesiad, wyją wichry jesienne; wśród nocy snuć się muszą nietopérze i puhacze, a może duch jego zstępuje z nieba i płacze nad tą ruiną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przegląd teatralny.

Teatr Rozmaitości. — Cicha woda brzegi rwie, przysłowie dramatyczne w jednym akcie wierszem, przez Jana Chęcińskiego.

Zauważyliśmy to już i raz jeszcze z zadowoleniem powtarzamy, że każdy oryginalny utwór dramatyczny ze szczególną troskliwością i starannością przedstawiany bywa przez naszych artystów. Przy

takię sposobności, niestety dość rzadko zdarzającej się, zabięrają się oni do pracy jak na uroczystość jaką. I dla autora podwójne ztąd zadowolenie, bo widzi i potrafi on ocenić szacunek jakim ci współtowarzysze pracy otaczają jego dzieło, a wsparty ich dobrą wolą i szlachetnym współzawodnictwem, zyskuje dobrą otuchę i pewność prawie powodzenia.

Przysłowie p. Chęcińskiego, o którym tu pisać mamy, dobrze jest znane czytelnikom Tygodnika Ilustrowanego, więc powtarzać tu jego treść byłoby rzeczą zbyteczną. *Cicha woda brzegi rwie*, należy do tej samej rodziny, co *Przed obiałem i po obiedzie*, *Ciekawość pierwszy gradus do piekła* i t. p., a rodzina to udatna, zdrowo w świat wychodzi i umiejętnie wyhodowana, długie życie zapowiada. Panu Chęcińskiemu takie sztuki drobnych rozmiarów udają się wyśmienicie. Nie szukajcie w nich treści skomplikowanej, sam rozmiar dzieła ją wyklucza; zbyteczny w nich także pomysł uderzający oryginalnością, bo oryginalność leży w samym obrobieniu, w dowcipie niewyszukanym a zawsze przyzwoitym, w pięknej formie, w dobrém zaokrągleniu scen i powiązaniu ich z sobą, w charakterach wreszcie, nie uwydatniających się wprawdzie typowemi rysami, boć to nie komedia właściwie mówiąc, ale obrazek tylko, zawsze jednak miejscową odznaczających się barwą i z żywego ciała wykrojonych. Nie wszystkie one wszakże równie wydatnie występują do szeregu. Pan Chęciński, jak każdy komedyopisarz, ma swoje uprzywilejowane postacie, sympatyczne dla siebie pociągi pióra; nie powiem naprzykład żeby miłość jego kochanków, gdziekolwiek zdarzy się ich spotkać, rozczulała mnie zbytecznie; ci wszyscy panowie i te wszystkie panie kochają się pod miarą i wagą.

Pan Sieciech, zdjęty swego urzędu powagą,
Kocha się w mojej córce pod miarą i wagą.

Miłość to przyzwoita, dość ostrożna, trochę wysentymalizowana, nie lubi żadnych wybuchów ani nawet słów zbyt gorących, i chociaż się znajdują sami na scenie, zdają się lękać czy ich kto nie podsłuchuje. Ale to już rzecz autora i wypływa ze sposobu w jaki on sztukę pojmuje; nie lubi bowiem razić, olśniewać, ale w czytelnikach i słuchaczach budzi sympatyczne uczucie, wyrażające się mniej więcej w tych słowach:

— Jakże się ta młodzież pocziwie kocha! A niechże się pobiorą czempredziej, będzie z nich wzorowe i porządne małżeństwo.

A wypływa to może i z tego przekonania, że z góry wiemy iż matrymonialnie i przykładowie skończy się wszystko; jeżeli zaś serce nam zabije o los płaczącej dziewczicy lub zrozpaczonego kochanka, to przez zbytnią sumiennosc tylko. Zresztą poco to bicie serca? wszak to nie dramat, ale rzecz lekka i wesoła. Po prawdzie przychodzimy pośmiać się trochę do sali teatralnej, a śmiechu tam znajdziemy do syta.

Bo naprzykład ta pani profesorowa, kobięcina to pocziwa sobie w gruncie, rządna, gospodarna, choć trochę zanadto wytrawna w języku; trzeba jednak coś wybaczyć gospodyni, która umiejętnie potrafi chodzić około pracy męzowskiej. Przyzwyczała się do panowania, znać przy ołtarzu już i przysiędże małżeńskiej położyła umyślnie rękę górą, i sądzi że to jej zapewniło prawo despotyzmu domowego. Tę komiczniejszą jest jej zdziwienie, kiedy ten mąż chory na nogę, cicho mówiący, a przeproszący wiecznie, odzywa się w energiczny sposób. Pani Mazurowska dobrze uwydatnia tę chwilę. W ogóle artystka ta rolę swoje opracowała dość starannie; nie wpada zanadto w wyrobioną już przez siebie manierę krzykliwości niewieściej, w samą porę miele językiem, a krzyczy tylko dobrze, bo jakże nie krzyżeć, kiedy jej córka uciekła od ołtarza i niewiadomo gdzie się podziała. Nawet w sprzeczce z mężem płacz jej, *ultimo ratio*, karabin iglicowy niewiast, rozśmieszył w samą porę widzów. Chwali się pani Mazurowskiej, że charakteru swarliwej żony nie przypieprzyła zbyt karykaturalnie, co z wielką łatwościąby jej przyszło, boć to zwykła natura ról przez nią odgrywanych.

Męża-profesora odegrał pan Rychter. Na tego wojewodę z Dymitra i Maryi, lub cześnika z Zemsty

za mur graniczny, drobna to i nieznacząca postać; ale przywilej już to wyłączny talentu, że każde jego dotknięcie ożywia i rozpromienia. Profesor wyszedł tak cały, tak konsekwentny, tak zgodny z pomysłem autora i sposobem w jaki go chciał w sztuce przeprowadzić, że postać ta wyskoczyła odrazu na czoło sztuki i utrzymała się w najżywszym świetle przez cały czas jej trwania. W scenie z córką, w której profesor przekonywa się że myśli jego dziecka niekoniecznie koło summ hypotecznycych i domów w Warszawie krąży, gdy cała serdeczna strona tego na pozór zeszcłego filologa odżywiła się w jego kochanej Ludwice, pan Rychter tak wybornie potrafił połączyć uczucie z umiarkowaniem gry, koniecznie z charakteru tego wypływającym, że prawdziwie podziwiać nam przyszło talent, swobodę i wytrawność aktora, który potrafi tak być panem siebie i... drugich. A owo: *przepraszam cię Doniu*, z jaką różnicą intonacji wypowiedane było w danych razach. Tak umiejętnie cieniowanie dykcji, to jedynie przywilej prawdziwego talentu, takie wyrobienie wyrazu twarzy i całej fizjonomii, tylko długim doświadczeniem i pracą na deskach scenicznych przychodzi.

Otóż cieniowania tego właśnie pragnęlibyśmy od pani Ostrowskiej, która grała rolę Ludwicy. Zdolna ta i chętna artystka, sumiennie przystępuje do wystudowania każdej roli; zdaje nam się jednak, że do rodzaju jej zdolności więcej nadają się charaktery wesołe, z lekką dozą kokieteryi, aniżeli nawpół melancholiczne postacie dziewic pokrzywdzonych w uczuciach i odbywających walkę wewnętrzną pomiędzy miłością, a tē co im się obowiązkiem być zdaje. Niedostateczny był odskok w pani Ostrowskiej od sceny z Gerwazym, do sceny z Wiktorem. Może też przeszkadzała wrazeniu zbyt szybka dykcja, stosowna wprawdzie czasem w lekkich komedijkach, ale w sztukach więszowanych zwłaszcza, niezawsze dająca się z korzyścią używać. Więsz, a tēbardziej więsz pana Chęcińskiego, ma swoje piękności, których dla słuchacza zatracać się nie godzi. Więcej ironii z Gerwazym, więcej serca z Wiktorem, więcej prawdziwego uczucia w scenie z rodzicami, a głównie z ojcem samym! Nie ganimy gry pani Ostrowskiej, która sumiennie widać studiowała swą rolę i pragnęła całym sercem przyłożyć się do powodzenia sztuki, ale szczerze wyznajemy, że spodziewaliśmy się więcej po niej. Trzeba zresztą także kłaść coś na karb pierwszego przedstawienia, które jest tylko jakby ostatnią próbą, i nie wątpimy że w dalszych przedstawieniach rola Ludwicy wyjdzie barwniej i serdeczniej.

Dla pana Ostrowskiego mamy same tylko pochwały. W przeciągu kilku dni, po odegraniu roli wujaszka w komedijce Fredry, to już drugie powodzenie tego zdolnego artysty. Powodzenie nadaje pewność siebie i widać to po grze pana Ostrowskiego. Gerwazy stanowi głównie komiczną stronę sztuki, i pan Ostrowski nic nie zatracił z tej trochę szarżowanej przez autora postaci, ale przytęm zrównał ją, uprawdopodobnił, utypował, jeżeli godzi się użyć tego wyrazu. Takich dowcipnych właścicieli domów można co krok spotykać po Warszawie, a chociaż w tej roli nagromadzono trochę zawiele złego na jednego, wychodzi to tak naturalnie, że człowiek śmieje się całym sercem, wdzięczny autorowi i artyście za tę chwilę prawdziwej rozrywki. Niestworzone dowcipy jakie pan Gerwazy wypowiada i z których się sam przechwala, zależą głównie na tonie i akompaniamencie fizjonomii i postaci całej, a komicznie zamysłona mina w scenie z Ludwiką, przewyższająca wybuchami pewnej siebie i niewątpiącej o niczem jowialności, oraz niepomiarowane zdziwienie, że ktoś śmie odrzucać rękę właściciela dwóch domów, oddane były z taką werwą i prawdą, żeśmy wszyscy uwierzyli w Gerwazego, jak gdyby w najdawniejszą znajomość.

Pan Piasecki dość mało znaczną i niewydatną rolę Wiktora oddał z godnością i uczuciem. Więsz mówił poprawnie i cieniował gdzie należało. Artysta ten w kilku latach znaczne uczyniwszy postępy, sympatycznie zawsze przyjmowany bywa przez publiczność, umięając ocenić sumienną pracę.

Wacław Szymanowski.

W drukarni J. Ungra.—Za pozwoleniem cenzury.